



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

319 w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . . (52 tomy) rs. 10

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Za odnośnienie do domu 15 kop. kw.

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 8 kop. —

Półrocznie (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —

Kwartalnie (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1870
we Lwowie Plac Maryacki L. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

487
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

N 205.

FINLANDYA

251
w oświeceniu literackiem.

ZBIÓR UTWORÓW PISARZY FINLANDZKICH

podług

319
E. BRAUSEWETTERA

opracowała

GABRYELA PLEWIŃSKA.



Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

1901

~~251.~~

~~319~~

FINLANDYA.

02184

FINLANDYA

W OŚWIETLENIU LITERACKIEM.

Zbiór utworów pisarzy finlandzkich

podług

E. BRAUSEWETTERA

opracowała

GABRYELA PLEWIŃSKA

——
TOM I.
——

WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава 14 Октября 1901 года

BIBLIOTEKA
PARAFIA P.W. NSJ
RADOM-GLINICE

20

*Lit. powszechna
(finlandie)*
821.5M.M-3

P 1/2014



Północna Europa ogólne dziś budzi zajęcie, ja-
ko mniej znana od reszty krajów, a nawet mniej
od bliższych części Azji i Afryki, nie mówiąc już
o Ameryce, której znajomość powieści, opisy, a zwa-
szcza tak liczna od tylu lat emigracya, rozszerzyły
aż do najmniej oświeconych klas społeczeństwa.

Przyszła nareszcie kolej i na te oddalone, a zwa-
szcza niedosyć dotychczas uwzględniane dziedziny,
i dziś już nie trudno jest obeznac się zarówno z fi-
zycznymi warunkami bytu mieszkańców tych krain,
jak z ich odrębnym od innych ludów charakterem
i samorodną, wskroś narodową a wysoką kulturą.

Jedną z tych krain, nieskończenie zajmującą
a najbliższą nam, jest Finlandya, której żywy i wier-
ny obraz znajdujemy w utworach jej poetów i powie-
ściopisarzy.

Nie ulega już wątpliwości, że fizyczne warun-
ki danego kraju, t. j. jego klimat, widoki, jakie oku
mieszkańców przedstawia, oraz łatwiejsze lub tru-
dniejsze środki utrzymania i rodzaj pracy, której
przeważnie ludność miejscowa oddawać się jest

zmuszoną, wywierają niezaprzeczony wpływ na jego poezję, ponieważ wśród tych warunków kształtuje się duch jego poetów.

Żaden zaś może kraj nie odznacza się taką odrębnością pod każdym z tych względów, jak Finlandya.

Jest to najbardziej na północ wysunięty punkt z kulturą europejską. Przez trzy miesiące letnie panuje tam dzień, prawie bez końca, gdyż podczas krótkiej nocy przyświeca zorza polarna. Zato zimową porą w najdalej na północ wysuniętym punkcie blisko przez dwa miesiące noc liczy 19 godzin na dobę; ale te noce nie są ciemne, gdyż rozjaśnia je białość śniegu, pokrywającego wszystko dokoła, oraz zorza polarna i odbicia słońca o świcie i zmroku. Z wyjątkiem krótkiego lata, promienie słoneczne padają tu zukosa i nie grzeją, jak w krajach południowych.

Zima w Finlandyi trwa długo: północną część zatoki Botnickiej pokrywa lód przez siedem, południową—przez pięć miesięcy w roku. Ale śnieg i lód stanowią jeden z niezbędnych warunków bytu dla mieszkańców tego kraju, gdyż bez śniegu, pokrywającego pola, nie ostałaby się żadna roślinność w tak ostrym klimacie, gdzie w północnej części mróz dochodzi do 48 stopni, a przeciętna temperatura wynosi 6,7° w Helsingforsie, a 12,9° w Torneö. Gdy zaś lód zetnie powierzchnię błot i jezior, wówczas dopiero mieszkańcy różnych okolic znajdują jedyną w ciągu roku możliwość komunikacji między sobą. Nad morzem zresztą klimat jest łagodniejszy, niż wewnątrz kraju, jest też w ogólności Finlandya w lepszych warunkach klimatycznych, niż leżące na tej samej szerokości geograficznej kraje w Azji i Ameryce, jako też najbardziej na północ wysunięte części Norwegii i Szwecyi. Dlatego Finlandya posiada bogatą roślinność i liczną faunę, która, naturalnie, posuwając się ku północy, coraz rzadszą się staje. Oprócz drzew

iglastych, znajdują się niekiedy w lasach fińskich wiązy, a po wsiach widzieć można rozsiane drzewa liściaste, czasem nawet dęby. Z owoców Finlandya posiada wielką obfitość jagód leśnych, spotyka się również i ogrodowe, jako też i niektóre drzewa owocowe, ale tylko do 63°.

Z różnych rodzajów zboża żyto stoi na pierwszym miejscu, lecz często nie dojrzewa w północnej części z powodu mrozów; jęczmień i owies dojrzewają do 64°. Głównem pożywieniem mieszkańców są kartofle, rzepa i groch. Kwiaty polne i zioła rosną latem nawet w najdalej na północ położonych stronach.

Morze oblewa Finlandyę od południa. U wybrzeża jej z granitu wznoszą się niezliczone nagie skały i lasem pokryte wysepki.

Runeberg, jeden z pisarzy najwięcej zasłużonych dla swego kraju i jego literatury, nazwał Finlandyę „krajem tysiąca jezior”, i odtąd przyjęto dla niej wogóle tę nazwę, lubo rzeczywista ich cyfra dochodzi od 4—5,000. Wiele z tych jezior niema wcale nazwiska; wiele z nich, leżąc jedne powyżej drugich, tworzą malownicze wodospady, między którymi „Imatra” jest największym i najwspanialszym w Europie. Skutkiem zaś ciągłego podnoszenia się powierzchni ziemi nad poziom morza w tym kraju, wiele jezior uciekło w głąb, z czego powstały liczne błota i trzęsawiska, które mogą z czasem wytworzyć znaczne obszary ziemi ornej, zwłaszcza, że to podnoszenie się i obsychanie gruntu nie ustaje.

Finlandya wogóle przedstawia niezmiernie urozmaicony krajobraz, na który składają się tak liczne jeziora znacznej nieraz wielkości, szumiące potoki, rzeki, wodospady, a między tem ciągną się rozległe puszcze, lasem porośłe wzgórza, gdzieś tam prześwieca nagi grzbiet skały, lub występują ponure trzęsawiska i nieprzejrane piaszczyste pustkowia.

W tym jednakże tak ubogim kraju rozwinęła się nadspodziewanie bogata kultura, powstały w nim kwitnące miasta i zajęły rozległą przestrzeń, daleko na północ, a od południa w głąb kraju sięgającą.

Kultura fińska jest jedną z najdawniejszych w Europie. Finlandya była zamieszkała jeszcze przed nastaniem ery chrześcijańskiej; otrzymała swą nazwę od sąsiadujących z nią Germanów, gdyż pierwotni jej mieszkańcy nazywali siebie „Suomalaiset”, a swój kraj: „Suomi”. Jest to szczep pochodzenia ugro-fińskiego. Pierwszą napływową warstwą byli w Finlandyi Lapończycy, mówiący tym samym językiem, ale z innego szczepu pochodzący. Koczujące to plemię odznaczało się zdolnością do poezyi, oraz gorącą miłością ojczyzny. Po nich przyszlizli właściwi Finnowie, którzy utworzyli jądro narodu, szczep ogromnie żywotny i wytrzymały; dalej Karele, z których po większej części wyszli poeci ludowi i między którymi głównie przechowały się dawne pieśni; nareszcie przybyli Szwedzi.

Finnowie byli pierwotnie czcicielami słońca i ognia, wielkie także u nich znaczenie miały czary. Później ich religia stała się czcią ducha, który w człowieku objawia się za pośrednictwem słowa. Dlatego najwyżej stawiali Mądrość, dając jej pierwszeństwo przed odwagą i męstwem. Oprócz ducha ludzkiego, a raczej ponad nim, stał duch gromowładcy „Ukko”, leśny „Tapio”, morski „Ahti” i podziemny „Tuomi”. Ofiar krwawych nie znano wcale.

Od 1157 r. Szwedzi zaczęli najeżdżać Finlandyę, a w 1293-m podbili ją, narzucając krajowi swój język i swą wiarę. Aż do 1809 r. Finlandya grała opłakaną rolę jabłka niezgody między Szwecyą i Rosyą, ale w tymże roku przeszła ostatecznie pod berło tej ostatniej, otrzymawszy od cesarza Aleksandra I zagwarantowany całkowity samorząd. Zapanował w niej otąd stały pokój, a pod jego osłoną rozwinę-

ła się wkrótce ta rodzima kultura, jakiej prawie nie widzimy nigdzie przykładu, zwłaszcza, gdy zważymy wielkie ubóstwo tego kraju, oraz trudne warunki bytu, w jakich upływa życie jego mieszkańców.

Chcąc wytworzyć sobie istotne pojęcie o Finlandyi i jej mieszkańcach, trzeba poznać jej poezję i jej poetów.

Bohaterem „Kalewali”, najdawniejszej ludowej epopei fińskiej, nie jest rycerz, tylko mędrzec i poeta. W tym poemacie, oraz w zbiorze starych pieśni ludowych, zwanym „Kantelar”¹⁾, już spotykamy wierne, lubo w poetycznem oświeceniu przedstawione obrazy przyrody i życia ludu. W nowszych zaś czasach, po obudzeniu się ducha narodowego, tem liczniej wystąpili z ludu i ze sfer wykształconych poeci, którzy za przedmiot swego natchnienia wzięli piękno przyrody swej ojczyzny, jej ciszę, delikatny, zamglony koloryt jej krajobrazów, urok jasnych nocy jej lata i śnieżną białozłocę prawie równie jasnych nocy zimowych, puste, okiem nieprzejrzane wydmy piaszczyste i zielone błonia, spienione potoki i cicho drzemiące jeziora. Na tem tle malują oni najczęściej z wielką prostotą własne swe życie, albo też życie swoich rodaków, dając w niem obraz miejscowych stosunków, jak również uczuć, pojęć i dążeń tych ludzi. A że echo wielkich, wstrząsających wypadków rzadko dochodziło do tej spokojnej krainy, wielkie zaś kwestye społeczne ledwie się w niej zarysowują, więc też jej pisarze zagłębiają się z miłością w duchowej istocie ludu i już to z litośnem współczuciem, już z odcieniem ironii, odtwarzają cier-

¹⁾ „Kantelo“, dawny fiński instrument o metalowych strunach, na którym towarzyszone sobie do śpiewu. „Kanteler“ — córka Kanteli.

pienia i radości mieszkańców odludnych wsi i milczących pustkowi, ich ciężką walkę o byt ze skąpą przyrodą i ostrym klimatem, ich znojną pracę bez wytchnienia, ich biedę, nędzę, jakoteż świat ich uczuć ukryty głęboko i ciche ich szczęście rodzinne.

Dzięki silnemu prądowi ducha narodowego, wszyscy poeci ostatnich czasów z małemi tylko wyjątkami, przyjęli ten kierunek. Każdy z nich pragnie dołożyć jakąś cegiełkę do gmachu narodowej kultury.

Kultura ta liczy zaledwie sto lat istnienia, gdyż przedtem (od 1159) Szwecya wywierała na nią wpływ wszechwładny aż do 1809, czyli do czasu przejścia Finlandyi pod berło Rosyi. Prosty lud w niektórych jej częściach mówił zawsze po fińsku, ale urzędnicy, uczeni, kupcy kształcili się już w szwedzkich szkołach i na szwedzkich uniwersytetach. Język fiński był zatem uważany za prostą gwara ludową i pozostawał w zupełnem upośledzeniu, a w całej literaturze XVIII-go stulecia odbijało się wyłącznie naśladownictwo szwedzkich pisarzy.

Ale już pod koniec XVIII-go wieku nczenni badacze języka fińskiego odkryli istną kopalnię najpiękniejszych poezyj ludowych i zaczęli skrzętnie gromadzić te skarby, a następnie przyszedł do przekonania, że nowoczesna poezya fińska również narodową być powinna. Jednym z pierwszych krzewicieli tego kierunku był Zachris Topelius, ojciec późniejszego poety. Zbierał on w swych wędrowkach po kraju stare fińskie „runy” i nowsze pieśni i ogłosił je drukiem w 1819 r. Lecz dopiero gdy za staraniem Eliasza Lönnrota zawiązało się w 1831 r. „Fińskie towarzystwo literackie”, zaczęły napływać coraz nowe materiały do poznania poezyi ludowej.

Lönnrot był synem wiejskiego krawca; nasłuchiwał się w dzieciństwie fińskich pieśni ludowych, a później na uniwersytecie w Abo (1827) zbiorek wydany 1819-go przez Z. Topeliusa obudził w nim

zajęcie dla fińskiej poezyi. Zebrał więc kółko kolegów, podobnie, jak on ze wsi pochodzących i tym samym zapałem dla ducha narodowego przejętych, z których liczby wyszło później kilku wielce zasłużonych pisarzy, jak zwłaszcza Runeberg i Topelius młodszy. Po przeniesieniu uniwersytetu do Helsingforsu weszło jeszcze do tego koła kilku ludzi podobnie myślących, a także kilka kobiet, jak np. młoda małżonka Runeberga. W tak powiększonym kole powstała za natchnieniem Lönnrota, uczonego filologa, myśl utworzenia „Fińskiego towarzystwa literackiego”.

Runeberg wywarł największy wpływ na rozwój fińskiej literatury i ożywienie ducha narodowego. Finlandya ma w nim swego największego, najgłębszego, a zarazem wysokiej wartości artystycznej poetę. Oprócz powieści prozą, wiernie odtwarzających życie chłopów i bogatych właścicieli ziemskich, wydał on między 1848—60 r. cały cykl bohaterских poezyj p. t.: „Opowiadania chorążego Stäl'a”, z kąd wzięta pełna zapалу pieśń: „Nasz kraj”, stała się pieśnią narodową Finów. Równego jej znaczenia jest Quantesia „Pieśń Suomi”. Napisał on jeszcze poemat p. t. „Król Fjal-lar”, godny zająć miejsce między pierwszorzędnymi utworami literatury europejskiej. W 1863 r. atak apoplektyczny wytrącił mu pióro z ręki na długie lata, lecz przyszedłszy do zdrowia w 1877 r., w krótkim przeciągu czasu napisał drugą część „Chorążego Stäl'a” i kilka dramatów, z których „Królowie Salaminy” posiada wysokie zalety literackie.

Runeberg, jak inni wielcy poeci fińscy: Deeksell, Topelius, Tavaststjerna, pisał po szwedzku, gdyż wszyscy oni należeli do inteligencji, która wówczas prze-ważnie szwedzkiego używała języka; ale co się tyczy ducha narodowego, bezgranicznej miłości swego kraju, swego ludu i wszystkiego, co swojskie, Finowie ostatniej epoki, lubo mówiący po szwedzku, nie ustę-

pują swym ziomkom, po fińsku mówiącym, jak t stwierdzają ich pieśni, a między nimi „Nasz kraj” Runeberga.

Inny, również po szwedzku piszący poeta, Lars Stenbäck, współczesny Runeberga, w wierszu pełnym uczucia i siły szuka „swej fińskiej ojczyzny”. Wstępuje na szczyt góry, lecz choć „piękna Finlandya u stóp jego leży, on tej ojczyzny nie znajduje.” Więc szuka jej wszędzie: wśród gwaru miast i wśród bogatych właścicieli wiejskich, ale szuka daremnie, aż znajduje ją nareszcie pod słomianą strzechą chłopskiej chaty.

Nawet sceptyk Tavaststjerna, niezadowolony z wielu rzeczy w swoim kraju i gotów zawsze do surowej krytyki, daje gorący wyraz swej miłości ojczyzny, gdy w jednym ze swych wierszy zwraca myśl do kraju:

— Rzecz dziwna, jestem gorącym patriotą,
Dopóki daleko od mej rodzinnej ziemi..
Gdy do niej wracam, staje się idyotą!
Mój pegaz zaczyna iść truchtem
I nie potrzebuje wędzidła.
A pomimo to — żaden kraj
Nie jest tak blizkim memu sercu i mej lutni!
Na całym świecie nie znalazłem nic
Równie mi nienawistnego — a jednakże równie drogiego.

I dla ludu także ma on szczerze i głębokie poszanowanie.

„Taki lud, jak mój — powiada — musi stać samodzielnie, choćby jeszcze uboższym był i mniej znaczącym. W takim życiu, jakim ono było w tym kraju przez długie wieki, wzrósł lud mężny, dumny, nieugięty”.

Pełen złądiną zwątpienia, przypominający dzisiejszych dekadentów, Michał Lybeck pisał w tymże

duchu, co i poprzedni. Najpiękniejszą z jego pieśni jest „Ciężki rok”, na obchód rocznicy Runeberga.

Arvid Järnefelt, piszący po fińsku, jasno określa źródło niepożytej siły, z kąd oni wszyscy czerpią swe natchnienie:

„Źródłem naszego natchnienia jest przeświadczenie, że plemię fińskie ma się rozwinąć jako naród i przy pomocy swego języka ojczystego stworzyć swoją własną, narodową kulturę. Kto nie jest dzieckiem tej idei, ten nas zrozumieć nie jest zdolnym. Bo wszystko w tem jednym się zawiera, że my wierzymy w lud fiński i jego przyszłość; że ten lud razem z jego mową i przeszłością kochamy; że liczymy na jego wielką zdolność kulturalną i mamy to przekonanie, że jego kultura jest niezbędną dla Europy. My tą ideą żyjemy!”

A wytworny i tak oględny w swem wyrażeniu Juhani Aho w jednym ze swych szkiców powiada:

„Nakształt zielska wgryzamy się, zębami i paznogciami w grunt naszej ziemi rodzinnej. Kto chce nas z niej wyrwać, ten tylko garść liści zatrzyma w dłoni, a korzenie pozostaną w ziemi i nowe puszczą latorośle.”

Równomiernie z rozwojem języka fińskiego w mowie i literaturze polepszyły się i warunki polityczne pod przewodnictwem Snellmana, filozofa i polityka, który prócz tego poezji poświęcał swe pióro.

Miedzy 50 a 60 r. ruch ten napotkał poważne przeszkody i utrudnienia, ale nie dał się zatrzymać — i tem silniej się rozwinął po 60 r., gdy Snellman wyjednał zniesienie zakazu używania języka fińskiego w szkole i urzędach, gdzie dotychczas panował język szwedzki.

Wprowadzenie języka fińskiego do szkoły, rządu i wszystkich instytucyj nie odbyło się bez walki. Cała zachodnia część kraju uważa język szwedzki za

swój ojczysty; był on też długie lata językiem klas wyższych, uczonych i świata urzędniczego, a wszystkie te sfery, czując się przez niego w związku z wszechświatową kulturą, obawiały się, aby wprowadzony na to miejsce język fiński nie przeciął tej łączności. Inni znów powstałi przeciw szkołom, w których wyznaczono równomierny zakres i znaczenie obu językom; ci bowiem utrzymują, że niepodobna używać dwóch języków jako mowy ojczystej, gdyż w takim razie żadnego nie posiedzie się dokładnie. W tym duchu Ahrenberg napisał nowelę: „Bez ojczystego języka,” przedstawiającą człowieka, który z powodu swego pochodzenia i ciągłych podróży nauczył się wielu języków, ale żadnym z nich doskonale nie włada — i wskutek tego braku śmiesznym się staje w najważniejszych chwilach swego życia.

Tavaststjerna żąda, aby ci, których zwykłym językiem był szwedzki, wyrażali w nim swoje myśli, a fińskiego uczyli się tylko dodatkowo. — „Naturalnie, znam język fiński, mówi jedna z osób w jego dramacie p. t. „Interesy,” ale nie może on być dla mnie tem, czem jest szwedzki. Lecz Finlandya jest dla mnie czemś więcej. Nie dość mi samego języka, abym dla niego żył: ja potrzebuję mieć kraj, abym mógł żyć i pracować dla jego dobra i szczęścia.”

Różnica poglądów na tę kwestyę wytworzyła partye „Szwedomanów” i „Finnomanów” — które wzajemnie ścierały się z sobą przez kilka dziesiątków lat i dopiero niebezpieczeństwo, zagrażające ogólnie krajowi, usunęło nieco te spory na drugi plan.

Powiedziałem wyżej, iż utwory pisarzy fińskich wiernie malują Finlandyę i jej lud. Co się tyczy jej krajobrazów, to noce zimowe posiadają najbardziej odrębny charakter. W noweli Ahrenberga znajduje się np. taki obraz, widziany we śnie:

„Zdawało mu się, iż przez niebieskawy тумan dymu ujrzał krajobraz zimowy. Widział wyiskrzony

firmament, płonący zorzą północną i słyszał skrzypiący śnieg pod stopami. Na drogę w lesie padały blade, niebieskawe cienie, a między ośnieżonemi pniami sosen pomykał w szalonym pędzie młody lisek, unoszący białe kurczę, które zdołał porwać ukradkiem. Las się skończył, za lasem otwierał się widok na zamarźle jezioro, a tam dalej wśród śniegu zniknął bez śladu lis ze swą białą zdobyczą. Mroźny wiatr północny wiał nad jeziorem.”

A Z. Topelius taki daje obraz północnej zorzy w wierszu, zatytułowanym „Północne słońce:”

„Nie noc, nie dzień, nie gwiazda, nie słońce, nie księżyc, a jednak krajobraz w idealnem oświetleniu. Na południe niebo jasne, na północ chmury. Góra, pole, rzeka, wieża kościelna, folwark, stajnia, koł na zielonej łące, to wszystko takie proste, takie zwyczajne. Lecz co dla pędzla całkiem niedostępne, to noc z przepaską światła dziennego na czole. Dokoła spokój i światło dokoła. Zkądże to światło? Płynie ono zewsząd, ale zkąd — tego nikt nie powie. Nie idzie ono od gór, ani z dolin głębi, ono świeci wszędzie. Ono jest samorodnem, przepełnia powietrze, pole, rzekę, dom. Ono z wszechrzeczy samodzielnie płynie. Ono jest utajoną duszą wszechstworzenia, jest jej westchnieniem, którem w noc letnią w tym kraju — wylewa swą głęboko tajoną tęsknicę i swą cichą nadzieję. Pójdź, mistrzu, który dowolnie tworzysz oświetlenie i rozmieszczasz starannie cienie w swych obrazach — odtwórz, jeżeli zdołasz, duszę przyrody: noc w świetle dziennem i krajobraz bez cieni.”

I pustkowie ma również swój powab — odrębny, jak cała przyroda w tym kraju: prześliczny jego obraz daje Adolf Paul w porywającej opowieści: „Legenda z pustkowia.”

Straszną jednakże jest walka, jaką w Finlandyi lud zmuszony jest toczyć z ostrym klimatem i siłami

przyrody, a w całej poezji nowoczesnej brzmia rozpaczliwe odgłosy tej walki. Wśród rozległych błot i pustkowi, nakształt strasznego potwora czyha mróz, aby napaść zniemacka na pola, zniszczyć owoc krwawej pracy rolników i wniwecz obrócić ich nadzieje. A za mrozem idzie głód, wiedząc z sobą nędzę, chorobę, często brak dachu i śmierć.

Wszyscy znaczniejsi poeci fińscy dali przejmujące obrazy tych mrozów we wszystkich czterech porach roku. Zda się, jakoby cała nędza, ztąd wypływająca, nastroiła ich lutnię na ton głęboki i posępny, a wspomnienie okropności, jakich gdzieindziej nie ma przykładu, spotęgowało siłę ich wyobraźni. Wogóle bowiem nie odznaczają się oni wielkim polotem fantazyi; mają w sobie coś trzeźwego, są w zgodzie z rozsądkiem, praktyczni, świadomi swego celu; ale gdy dotkną tego przedmiotu, wyrastają im nagle potężne skrzydła, których szum przejmują grozą...

Runeberg daje skończony obraz tej walki w jednym z bohaterów swych „Sielanek i Epigramatów.” Przedstawia w nim również niezmordowaną pracowitość ludu fińskiego, jego wytrwałość żelazną, jego rezygnację, oraz jednostajność, w jakiej upływa jego życie. Wiersz jest nie rymowany w oryginale, tu zaś przytaczamy go, jak inne również, w możliwie wiernym przekładzie prozą:

„Tuż przy błoniach Sarrijärvis mieszkał Paavo na zagrożonym przez mróz folwarku, uprawiając swe pole pracowitemi rękami, lecz od Pana wyglądając plonu. Mieszkał tam z żoną i dziećmi, spożywając z niemi w pocie czoła skąpy kawałek chleba, kopał rowy, orał i zasiewał.

„Z wiosną stopniał śnieg na jego roli, a woda uniosła połowę zasiewów; w lecie spadły grady i zbiły drugą połowę zboża już w kłosach, a w jesieni mróz zniweczył resztę. Żona jego rwała włosy z głowy i rzekła: „Paavo, nieszczęsny starcze, weź kij że-

braczy. Bóg odtrącił nas od siebie! Ciężko jest żebrać, lecz ciężiej umierać z głodu.”

„Paavo ujął rękę małżonki i rzekł: „Pan doświadcza nas tylko, lecz nie odtrąca! Mieszaj do chleba korę po połowie z mąką, a ja wykopię rowów drugie tyle i będę od Boga wyglądał plonu.”

„Żona jego piekła odtąd chleb napół z korą, Paavo wykopał drugie tyle rowów, a na zasiew kupił zboża z pieniędzy wziętych za owce.

„Z wiosną znów stopniały śniegi, ale nie uniosły już zasiewów. Latem grady zbiły już tylko połowę plonu, lecz w jesieni przymrozek zabrał resztę. Żona Paava tłukła się pięścią w piersi i wołała: „Paavo, Paavo, nieszczęśliwy starcze, umrzyjmy lepiej, bo nas Pan odtrącił! Ciężko jest umrzeć, ale żyć jest ciężej!”

„Paavo ujął rękę małżonki i rzekł: „Pan doświadcza, ale nie odtrąca. Mieszaj dwa razy tyle kory do chleba, a ja będę kopał dwa razy głębsze rowy i od Boga wyglądał plonu.” Kobieta brała odtąd dwa razy tyle kory do chleba, Paavo kopał dwa razy głębsze rowy i na zasiew kupił zboża, sprzedawszy krowę.

„Z wiosną znów stopniały śniegi, ale nie uniosły zasiewów. Latem grad wcale nie uszkodził plonów, a w jesieni przymrozki oszczędziły złote kłosy i dozwoliły im doczekać zniwa. Wtedy Paavo padł na kolana, mówiąc: „Bóg, Pan nasz, doświadcza nas, lecz nie odtrąca!” Żona także padła na kolana i rzekła: „Pan doświadcza, ale nie odtrąca.” I z radością ozwie się do męża: „Paavo, Paavo, bierz się żwawo do sierpa! Teraz przyszedł dla nas dzień szczęśliwości! Teraz pora już porzucić korę i piec chleb z czystego żyta! Lecz Paavo ujął dłoń żony i rzekł do niej: „Niewiasto, ten tylko zdoła przenieść próbę losu, kto

nie odtrąca bliźniego w niedoli! Mieszaj po połowie korę do chleba, gdyż zmarł plon na roli sąsiada."

W noweli: „W ciężkim roku”, przytoczonej w *Dodatku*, Juho Reijonen dał pełen siły obraz mrozu, który wypędza ludzi w świat, i zawiei, która ich grzebie pod śnieżnym całunem.

Aho Juhani maluje również raz po raz podobne obrazy, a Tavaststjerna w powieści „Ciężkie czasy”, prosto zresztą i w spokojnym tonie napisanej, ukazuje „Królową poranku”, gdy na złocistym wozie od północo-wschodu na południo-zachód przejeżdża nad Finlandyą i staje się świadkiem różnych dziwnych rzeczy, jakoteż osobliwszego niepokoju wśród tak spokojnego zwykle i cichego ludu. „Królowa poranku” (słońce) spotyka na każdym kroku ślady zniszczenia, jakie mróz poczynił w nocy, aż w swej wędrówce widzi w południowej Finlandyi wąską linię (kolej żelazną), 40 mil długą, która ten kraj połączy z krajem pół żyznych i przez którą będą napływały bogactwa kultury europejskiej dla złagodzenia panującej w nim nędzy. Ale tymczasem ci, którzy tę drogę budują, chowani bywają gromadnie z pośpiechem we wspólnych grobach.

„Nareszcie „Królowa poranku” ujrzała piękne miasto na skalistym wybrzeżu Finlandyi. Tam w murach białych domów mądrych mężowie spali snem sprawiedliwych w swych łóżach wygodnych, najmocniej przekonani, że wszystko uczynili dla największego dobra narodu, gdy arcybiskupowi wraz z ludem polecieli, aby się modlono do Boga o pomyślne zbiory. Bogini długo upatrywała daremnie na brukowanych ulicach śladu tego niepokoju, jaki panował w całym kraju, i spotkała go dopiero w twarzy chłopskiej pary, przybyłej na rynek. Ten sam smutek widziała rozlany na obliczu każdego, kto już nie spał o tej porze w tym pięknym kraju, gdzie szron okrutny pokrył zieloność późnego lata.

„Późniejszą dopiero godziną powstawały z łóżek znakomite osoby, nic nie wiedząc o tem, co się w nocy stało, i cieszyły się, że słońce tak jasno świeci, a następnie białemi rękami, które nigdy nie dotknęły pługa, ani rydla, zabrały się do swych zatrudnień.

„Powoli zbudził się kraj cały: zbudził się do ogólnego, bolesnego przeświadczenia o strasznej klęsce i ciężkich czasach, jakie miał przed sobą.”

Jakób Ahrenberg również uznaje, iż ludzie nie są bez winy w tym względzie, a jedną z przyczyn strasznej nędzy, jaką cierpi lud fiński, jest wprost zbrodnicza gospodarka z lasami. Przedewszystkiem—panuje tam zwyczaj odwieczny uprawiania roli w ten sposób, że wycinają drzewa w lesie i razem z korzeniami palą na gruncie, uważając popiół za najlepszy nawóz. Prócz tego — z lasów, nad rzekami spławnikami położonych, wyrabiają i spławiają drzewo budulcowe, w innych zaś pędzą smołę, co nieraz spowodza pożary, które wyniszczają lasy na rozległych czasem przestrzeniach.

Gdzie zaś rola nie została uprawiona po wytrzebionym lesie, tam często powstają błota i mocza-ry; lasy również zasłaniają uprawne pola przed zimnemi wiatrami, które wieją od jezior, błot i pustkowi, a zasiewy, pozbawione tej ochrony, przepadają marnie. Pisarze fińscy wymownie powstają przeciw takiemu marnotrawstwu.

Oto jak w jednej powieści Ahrenberga („Dzielny chłopak”) stary pastor oskarża spekulantów, wyniszczających lasy:

„Przybyli tu przed rokiem ze swoim i cudzym kapitałem. Las został wycięty, a jego szczątki od trzech dni pożera ogień, przepalając łono matki ziemi... To wszystko stało się w ciągu jednego roku, a co przyszłość przyniesie? Gdy lasu nie będzie, mróz nocny zniszczy zasiewy w całej wsi, bo za la-

sem leżą wielkie błota Nälkäsuu, które mróz i mgła rozprzestrzeniają naokół.

„Po zniszczeniu lasu pola wioski zostają zmar-nowane na długie lata — i za jaką cenę? Speculanci zapłacili chłopom stosunkowo małe pieniądze i te jeszcze później odebrali. Odebrali za wódkę to, co za drzewo zapłacili. Mało ludzi potrafi utrzymać pieniądź, który im nagle przyszedł, a lud wiejski — to duże dzieci. Nie użyli też oni tych pieniędzy na rzecz istotnego pożytku, nie użyli ich na ulepszoną uprawę roli, na powiększenie inwentarza, na kupno ulepszonych narzędzi... Niel oni je wydali na kawę, cukier, a głównie na rum. Widzicie więc, do kogo przeszły te pieniądze. Rozumiecie teraz, coście uczynili? Popełniliście czyn okrutny względem waszej matki-karmicielki i czystych obyczajów ludu fińskiego.”

Córka pociesza go, że *las znów odrośnie!*

„Odrośnie! — rzekł stary i zamyślił się. — Dziecko drogie, wszakże i góry w Laponii były przed wiekami pokryte lasem. Na błoniach Jütlandyi już w późniejszych czasach rosły pyszne lasy dębowe, a ręka i bezmyślność ludzka potrafiły je wyniszczyć. Teraz na grobie dębów porasta wysoka trawa. Błonia Lüneburskie, góry Włoch i Peloponezu pokrywały niegdyś lasy, które wytrzebiono niemiłosiernie. A teraz trzeba milionów, aby zalesić te błonia, za żadne zaś skarby świata nikt tego nie dokaże, aby lasy porosły znów na górach Laponii, lub Peloponezu.”

I wciskanie się obcej kultury do wiosiek aż po granicę pustkowi znalazło swój wyraz w utworach pisarzy fińskich, którzy wielce się różnią w swoich poglądach na jej następstwa. Jedni są bezwarunkowymi zwolennikami postępu, jak np. Tavaststjerna, Aho, Ingman, Minna, Cauth; inni, jak Päävrinta i Ahrenberg, idą za nimi tylko do pewnego punktu i odrzucają niektóre dążności reformatorskie, a jeszcze

inni, np. Järnefelt i jeszcze Ahrenberg, o tyle tylko uwzględniają postęp, o ile on nie narusza odrębności narodowej. Lecz nawet bezwzględni wyznawcy postępu nie zamykają oczu na fakt, że wciskanie się wytworów obcej kultury, nowych idei i dążności ruguje nieraz dawny patryarchalny obyczaj, wywołując potrzeby i pragnienia, mogące tylko powiększyć cierpienia ludu w obecnym jego położeniu.

W tym też duchu Juhani Aho, który najgłębiej pojął ten wpływ i najwszechstronniej go ocenia, w dwóch ludowych nowelkach: „Jak ojciec kupił lampę” i „Kolej żelazna,” wykazuje, jak nowe wynalazki działają na lud, w głębi kraju zamieszkały. Pierwsza lampa w chłopskiej ohacie! pierwsza para chłopska, która odbyła podróż koleją! Jasna lampa naftowa ruguje smolne drzazgi, które dotychczas oświetlano izbę; dzieci, nowe pokolenie, cieszą się. Rozważna i pełna przesądów ich matka sprzeciwia się tej nowości, aż nareszcie mąż pokonywa jej opór, budząc w niej próżność: oni pierwsi z całej wsi będą mieli lampę w swojej chacie! Ale parobek, który dotychczas strugał drzazgi, usuwa się do swej izdebki, bo czuje się niepotrzebnym i tam zajmuje się dalej ich struganiem. A dzieci o zmroku wymykają się do niego i przy zapalanej drzazdze słuchają, jak im opowiada stare legendy i śpiewa stare pieśni.

W tem głęboko poetycznym zakończeniu Aho wykazuje, że tu ginie jakiś stary świat, który miał w sobie wiele piękna i dobra i w którym fantazyja obszerniejsze znajdowała pole.

Minna Canth, nowelistka i pisząca dla sceny, autorka nawskroś tendencyjna, przemawia za rozpow szechnieniem w swej ojczyźnie wszystkich prawie dzisiejszych idei europejskich, a czyni to z całym zaślepieniem polemisty i zupełnym brakiem poszanowania dla wszystkiego, co uznaje za przestarzałe.

J. Ahrenberg, człowiek wielkich zdolności, wszech-

stronnie wykształcony, który wiele podróżował, bardzo sceptycznie i prawie w konserwatywnym duchu zapatruje się na powyższą kwestję. Każe on szlachcie trzymać ściśle z ludem, a o synu, pochodzącym ze zmieszanego z inną narodowością małżeństwa, tak się wyraża:

„I zwolennicy i przeciwnicy jego w tem jednym się zgadzali, że nie stawiały mu na drodze ani tradycje, ani przesady narodowe, ani żadne niepotrzebne względy.”

Emancypacja kobiet nie ma również w nim zwolennika. Uważa on za jej źródło chęć zdobycia kawałka chleba, mówi jednak:

„Że my jesteśmy z innej gliny, to pewna; ale wiem także, iż wszystkie piękne, wielkie i szlachetne ideały, które kiedykolwiek w poezji, muzyce, malarstwie lub rzeźbie zostały wcielone, wszystkie wielkie prawdy, które ludzkość na wyższy stopień podniosły, wyście dla niej przechowały i z mlekiem waszej piersi wyssali je wasi synowie.”

Niektórzy pisarze fińscy ostrzegają także przed ułatwieniem i rozszerzeniem wykształcenia, utrzymując, iż ztąd powstanie tak bardzo szkodliwy gatunek ludzi napół wykształconych, że się obudzi wstręt do pracy fizycznej i pochopność do wyrywania się ze swego stanu.

Ahrenberg w powieści „Dzielny chłopak” przedstawia te smutne następstwa w osobie Izaaka Hultila. Pochodzi z chłopskiego stanu, ale za nic w świecie nie pozostanie chłopem, bo jest przecież taki zdolny i nauka tak łatwo mu przychodzi! Zarząd gminy, której on zaszczyt przynosi, ułatwia mu dalsze wykształcenie, ale gdy wstąpił na uniwersytet, Hultila przerósł swoją rodzinę i dawne otoczenie. Ci ludzie przestali go rozumieć, lubo go podziwiali. Zarzucił on również chłopską odzież i ojczystą mowę,

choć nigdy się nie nauczył wyrażać poprawnie po szwedzku. Pozbył się też następnie swego konserwatyzmu chłopskiego, a z nim ostatecznie utracił grunt pod nogami. Zerwały się wszystkie nici, łączące go ze swoimi. Został pastorem, ale pojęcia liberalne i nałóg pijaństwa pozbawiły go tego urzędu. Doprowadzony do nędzy i ostatecznego upadku, kończy temi słowy: „Obym był pozostał chłopem!”

W szkicu humorystycznym: „Człek wykształcony” — z tragicznem jednak zakończeniem, Päiväriuta ośmiesza w osobie Laarili zarozumiałość tych, którzy liznęli tylko nauki, a uważają się za wykształconych.

W powieści: „Kraj rodzinny” Järnefeld powstaje wymownie przeciw wyrywaniu się ze swego stanu i wpływ obcej kultury uważa za szkodliwy dla Finlandyi; dobro zaś jej widzi jedynie w pielęgnowaniu narodowości i podniesieniu ludu, a postęp w rozwoju odrębnej jego natury. Heikki, bohater jego powieści, poświęca w tym celu drogę naukową. Oto jak autor przedstawia tę ofiarę:

„Heikki gotów jest pracować dla tych, którzy go potrzebują; gotów wszystko, co ma najlepszego w swej całej istocie, poświęcić dla drogiego mu ludu wioski rodzinnej! Serce jego bije radośnie, przepelnia je wdzięczność, że znów coś kochać może, jest wdzięcznym Bogu, który wiedząc, że serce ludzkie nie jest zdolne objąć całości tej pięknej ziemi, odłączył dla nas jej część na kraj rodzinny i dał nam rodzinną mowę, w której dźwiękach, równie jak w szumie rodzinnych sosen — przemawia dusza nasza!”

Lud fiński jest konserwatystą do szpiku kości; jest ślepym czcicielem tradycji, którą się kieruje w całym życiu swoim. Trzyma się on niezłomnie wszystkiego, co stare i swojskie, a trzyma sercem, nie rozumowaniem; miłość obyczaju narodowego jest w nim namiętnością.”

W całej literaturze fińskiej spotykamy typy tego rodzaju, a najznakomitsze stworzyli Ahrenberg i Aho, pierwszy w powieści „Tubylec,” drugi w noweli „Pozbawiony spokoju.”

„Tubylec,” jak go przez szyderstwo jego przyjaciół i kosmopolita nazywa, okazuje tę bezwiedną potęgę uczucia, która uporcezywie zmierza do jednego celu, nie zdając sobie nawet jasno z niego sprawy, i osiąga go nie przez jakąś akcję samodzielną, tylko przez niezłomne trwanie przy swoim. Dopiero wobec tego, jak gromadzą się przeszkody, przechodzące jego siły, budzi się w nim brutalność jego natury pierwotnej: bez zastanowienia, idąc jedynie za popędem uczucia, obala on wtedy gwałtownie wszystko, co mu na drodze stało. Tacy ludzie powstają jedynie na tle wspaniałej przyrody, w krainach, nie mających blizkiego zetknięcia z ogólną kulturą europejską. Powstają ztąd, że w swych pojęciach i uczuciach nie ścierają się z ludźmi inaczej myślącymi i czującymi odmiennie; posiadają oni z natury charakter zamknięty i jakąś wewnętrzną wstydlivość, która im nie dozwala obnażać swej duszy przed oczyma ludzkimi. Są to „dusze-samotnice.” Zmuszone do działania występują one w czynach, niezrozumiałych dla ogółu, gdyż brak im słów do wykazania całego procesu, który poprzedził ich czyny.

Nowocześni pisarze fińscy, zwłaszcza Aho i Tavaststjerna, mający dużo z tym typem wspólnego, wzięli sobie za zadanie wyjaśnić tego rodzaju charaktery, odkrywać poruszenia ich uczuć i wpływać na ich zrozumienie, ukazując, jakie się w nich kryją dusze czułe i umysły całkiem pierwotne. Więc też ci ludzie ze swem pojęciem o prawie i sprawiedliwości, stają nieraz w tragicznej kolizji z utartymi zasadami, jak w „Tubylecu,” albo z obowiązującymi w kraju przepisami, jak w szkicu: „Pozbawiony spokoju.”

W tym ostatnim przedstawia Aho człowieka,

którego ludzie traktują po macoszemu. Jest to biedny parobek, przez wszystkich poniewierany, którego ta niesprawiedliwość czyni popędliwym, jak dzikie zwierzę, pomimo, że w gruncie ma on czułą i pocziwą duszę. Szuka on schronienia w samotnem pustkowiu i tam rozwijają się wszystkie dobre strony jego charakteru, ale w zetknięciu z ludźmi występuje znów jego brutalność, wywołana ich brakiem serca. Nacichają go oni nareszcie w jego pustkowiu i wypędzają z obrębu, do którego rości sobie prawo. Wtedy wybucha w nim gniew człowieka pierwotnego: jednym zamachem chce pozbyć się swych przeciwników razem z ich kulturą i usiłuje zniszczyć kolej żelazną, widząc w niej przyczynę prześladowania, którego się czuje ofiarą! Czyn się nie udał—i sprawca idzie do więzienia, jak mu to dawno przepowiadano!

Podobny charakter przedstawia „Starzec z nad jeziora” w noweli tegoż pisarza. W „Patronie Hellmann” bierze Aho ten sam przedmiot ze strony humorystycznej. W „Samotnym” maluje cierpienia takiej duszy człowieka wysoko wykształconego przy zetknięciu z odmgotem życia wielkomiejskiego.

Lecz gdy takiej „duszy-samotnicy” oszczędzono, zostaje starcie, wtedy ogarnia ją spokój, podobny do tego, jakim tełnie wieczór pogodny nad brzegiem fińskiego jeziora. Taka dusza, gdy ją życie zmrozi, zdobywa się na cichą rezygnację i pogrąża w marzeniu.

Lecz fiński lud posiada również swój humor rodzimy, w niczem niepodobny do humoru innych narodów, a spotykamy go już w utworach najdawniejszych poetów fińskich. Humor ten nie pobudza do żartów i niema w sobie lekkości; jest to niby uśmiech ironiczny w połączeniu z żalem, że trzeba sztydzić tam, gdzieby raczej litować się należało. Jest coś czułego, miękkiego, niemal pierwotnego w tej ironii.

cznej naganie. Rozsądek pisarza coś potępia, lecz serce jego ma wyrozumiałość i nieraz współczuje z przedmiotem swego szyderstwa. Naturalnie, ta cecha rozmaicie się objawia u rozmaitych pisarzy. To, co wyżej powiedzieliśmy, odnosi się głównie do Juhani Aho, oraz Tavaststjerny, lubo ci umieją zdobyć się także i na jaskrawą satyrę. Päiväriuta ma humor pedagoga, który z uśmiechem pobbajającym, ale tonem stanowczym napomina swych wychowanców. Z tem wszystkiem już sama postać „Laarili,” wykazuje, jak autor tej powieści nawet w satyrze umie być sympatycznym. Ahrenberg nie posiada wcale właściwego humoru, lecz zato jest zdolnym satyrykiem, zwłaszcza w swych pismach polemicznych. Inni znaczniejsi humoryści i satyrycy fińscy są: Santeri Ingman, Zillacus, Kauppi-Heikki, humorysta, pełen ciepła serdecznego, i Alkio, surowy satyryk, wyśmiewający wady towarzyskie z szalonym nieraz zacięciem.

Powyższy szkic daje pojęcie, jak żywo, barwnie, nastrojowo fińscy pisarze kreślą rodzime krajobrazy, z jaką przejmującą prawdą malują walkę swych rodaków z wrogami potęgami przyrody; jak przy pochłanianiem ich całkowicie umiłowaniu swej narodowości zapatrują się na wciskanie się do ich kraju obcych idei, stosunków i wynalazków. Widzieliśmy dalej, że charakter ludu fińskiego posiada pewne cechy typowe, które się też odbiły w jego poezyi, a które dopiero pisarze fińscy wykazać i wytlómaczyć zdołali. Poznanie tych właściwości koniecznem jest do zrozumienia tegoczesnej literatury fińskiej i jej głównych przedstawicieli.

Mając mówić o nowoczesnej literaturze fińskiej, musimy w niej rozróżnić dwa rodzaje pisarzy: jedni piszą bowiem po szwedzku, drudzy po fińsku. Pierwsi prawie wszyscy pochodzą z wyższych klas towarzyskich, posiadają wyższe wykształcenie i utwory ich noszą artystyczną cechę. Obeznani z literą powszech-

ną, zwłaszcza ze szwedzką, która odbija w sobie wszechświatowe prądy, ulegają oni do pewnego stopnia jej wpływom. Z drugimi rzecz cię ma przeciwnie. Pochodzą oni po części z chłopów, wielu z nich nie posiada zupełnie wyraźnego wykształcenia, niektórzy zaś nie uczęszczali wcale do szkoły, lecz, nauczywszy się czytać, sami na własną rękę przyswoili sobie elementarne wiadomości. Ale ci nawet, którzy pochodzą z klas oświeconych, lub otrzymali wyższe wykształcenie, jak Juhani Aho, syn pastora, Juho Reijonen, który sam jest pastorem, Dr. Santeri Ingmann, który studiował historję, Arvid Järnefelt, prawnik, i wielu innych, pochodzą z głębi kraju, z cichych, odludnych miejscowości i są całem sercem związani z ludem, w którego myśli i uczucia wniknęli głęboko, pomimo, że piszą po szwedzku (jak Runeberg, Tavaststjerna i inni), a więc są zdolni malować ten lud tak dobrze, jak pisarze, którzy wyszli z jego łona. Z wyjątkiem Aho i Minny Canth trzymają się oni daleka od idei postępowych i tylko pierwszy przyswoił sobie styl nowoczesny w niektórych utworach swoich.

Oprócz wyżej wymienionych, literatura fińska posiada licznych jeszcze pisarzy w rozmaitych jej gałęziach po szwedzku piszących. Najznakomitszym z liryków nowej epoki jest Juliusz Wecksel, który, niestety, już w 24 roku życia dostał pomieszaniaszmysłów. Został po nim zbiór poezyj pełen młodzieńczego zapału, bogactwa myśli i posępnego mistycyzmu. Jego „Zemsta karłów” może dać pewną miarę rodzaju jego talentu:

„Głęboko pod ziemią, w ciemnej pieczarze, kuje karzeł złoto i napełnia niem skrzynię. Złoto błyszczy czerwonym blaskiem, młot iskry z niego wydobywa, a karzeł śmieje się szydersko i śpiewem wtóruje uderzeniom młota.

„Widoku kwiatów, drzew i słońca pozbawiliście

nasze oczy; powietrza pożałowaliście naszej piersi i wygnaliście nas w te podziemia. Nienawistny jest nam wasz pyszny, chwiejny ród, ale posiadamy zgubną truciznę, która nas pomści.

„Kupujemy w pieczarach rozpalone złoto, które wpręgnie ród ludzki w niewolę grzechu. Złoto się uśmiecha i błyszczy i wabi w zawrotną przepaść, w bezdenne odmęty.

„Nadajemy złotu dziwny blask, za którym człowiek nie widzi niebezpieczeństwa, i omamiony jego połyskiem, z samego nieba rzuca się w otchłań i śmierć.

„Złoto wytrąca miecz z dłoni bohatera; złoto łamie przysięgi, tworzy zdrajców ojczyzny, zrywa różane więzy miłości, a ze złodzieja czyni świętokradcę.

„Złoto zabija niewinność w najczystszej łonie; gasi wiarę z szatańską uciechą, niweczy swobodę młodzieńczego ducha i mrozi wrzącą krew młodzieńczą.

„O! lśnij się, metalu, skrzyj się wspaniale! Ty, młocie nienawiści, uderzaj całą siłą! Ród ludzki wyginie zepsuty, a my znów posiadziemy świat!”

Jego tragedia historyczna: „Daniel Hjort” zajmuje jedno z pierwszych miejsc w całej literaturze fińskiej. Inni pisarze, jak Emil Wernander, a zwłaszcza wielce płodny Rafael Hertzberg (zm. 1896) tę mają zasługę, że czerpiąc z życia Finnów treść swoich utworów, zachowali narodowy charakter literatury szwedzko-fińskiej.

Zachris Topelius był jednym z najznakomitszych pracowników na tem polu. Ojciec jego, doktor medycyny, jeden z pierwszych wydał (1819) zbiór pieśni fińskich. Młody Topelius, wszechstronnie wykształcony, zbogacił literaturę fińską długim szeregiem dzieł różnorodnej treści. Studyjac filozofię, hi-

storyę i literaturę, zdobył oprócz tego taką znajomość nauk przyrodniczych, że jego „Księga przyrody” zyskała ogromny rozgłos i przyniosła mu wielkie zyski. Nie mniejszem powodzeniem cieszyły się jego dzieła dla ludu i dla dzieci pisane. Tavasstjerna, będąc sam znakomitym pisarzem, tak maluje wpływ, jaki dzieła jego wywierały w Finlandyi:

„Opisy i legendy Topeliusa z większem życiem i wyrazistością, niż sama natura, przedstawiały nam piękność Finlandyi, oraz koloryt krajobrazu północnego. Nauczył on nas kochać drzewa i gwiazdy, wody, kamienie i wiatrem gnane obłoki... a po drzewach i kamieniach nauczył nas lubić „Matti” ¹⁾ i „Maję”. Ze stu zaś innych powiastek dowiedzieliśmy się, że wszyscy chłopcy i wszystkie dziewczęta w całej Finlandyi stanowią jedno wielkie rodzeństwo, a wtedy nasza miłość, która obejmowała gwiazdy, kamienie, drzewa i jeziora, rozciągnęliśmy także na ojca małego Matti, na jego dziadka, na Pekkę, na Annę, Maję i Gretę i wszystkich, wszystkich chłopców i dziewczęta, wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety”.

Jego poezye mają także wartość istotną.

Jonatan Reuter ma wiele wspólnego z Topeliusem. Nie jest on w tym stopniu obdarzony uzdolnieniem poetyckiem, ale jako młody, posiada niejeden rys obecnej epoki. Ojciec jego był pastorem i matka także córką pastora. Jonatan urodził się r. 1859 w Ekenäs, małym miasteczku nadmorskiem, przepędził młodość na fińskich wysepkach pobrzeżnych i dziś jeszcze cały czas wolny spędza w małym domku nad morzem, obcując z rybakami.

Głęboka wiara, żywe uczucie religijne i nieskończona miłość przyrody stanowią główny charakter

¹⁾ „Matti” — Mateuszek.

jego poezyj; z lubością zwłaszcza maluje morze, oraz twarde i pełne niebezpieczeństw życie mieszkańców wybrzeży morskich. Jest to poeta nawskroś pogodnego usposobienia.

— Jak to szczęśliwie, że tyle słońca jest na ziemi! — woła w jednym ze swoich wierszy. — A jednak nie grzeszy on ślepym optymizmem i umie malować trudy i grozę życia rybaków. Praca jest w jego pojęciu najwyższą pociechą i najpewniejszym oparciem; mówi o niej z zapałem, jak np. w wierszu: „We własnej piersi“.

Poświęcenie szczęścia dla obowiązku znajduje w nim również głębokie uznanie. W jego wierszu: „Życie wymaga“... poświęca rolnik to, co mu najwięcej sprawiało radości: wycina krzew okryty kwiatem, w którym się gnieździło mnóstwo śpiewającego ptactwa, ponieważ ten krzew rzucał cień na jego rolę: „choć z każdym cięciem siekiery zadawał duszy swej bolesne rany“.

Podobną myśl rozwinął także w szkicu pod tyt. „Kaleka“.

Największe znaczenie pod względem artyzmu posiada Reuter w żywym, malowniczym, pełnym niejako powietrza i woni kolorystyce, jaki daje swym opisom natury, a zwłaszcza morza. Wiosna, słońce i noce księżycowe mają w nim również swego spiewaka.

Reuter jest ostatnim z poważnych przedstawicieli pewnego romantyzmu w literaturze fińskiej. Wszyscy następni są już realistami, trzymają się ściśle rzeczywistości, oraz malują różny stan duszy według obecnych pojęć psychologicznych, bez poetycznego zabarwienia romantyków.

Przychodzi po nim jeszcze liczny zastęp wybitnych pisarzy nowego kierunku, w duchu fińskim po szwedzku piszących.

Między innymi, Wilhelm Gabryel Lagus, lektor języków starożytnych w liceum w Wyborgu († 1896), liryk i pesymista, celował w balladach i pisał dla sceny. Między dramatycznymi jego utworami znajduje się zajmująca sztuka p. t. „Nowy adjunkt“, przedstawiająca wielki charakter, wciśnięty w ramy podrzędnego stanowiska.

Pisali także poezye: radca A. Teodor Lindh i znakomity profesor O. M. Reuter; ten ostatni posiada umysł głęboki, wiele uczucia i prawdziwego talentu.

Najznakomitszym nie tylko z wyżej wymienionych, ale z wszystkich po szwedzku piszących liryków, jest Tavaststjerna, który w Helsingforsie studiował budownictwo, lecz wskutek powodzenia, jakiego doznały pierwsze jego poezye, wydane w 1883 r., poświęcił się całkowicie literaturze. Jest on mistrzem w poezji lirycznej, a także w nowelach i szkicach, które w ciasnych ramach zawierają takie bogactwo treści, tak głęboką charakterystykę postaci i tak różnorodny koloryt, że równych nie spotykamy w piśmiennictwie fińskim.

Przy całej miłości swego narodu nie jest on ślepym na wady i braki swoich rodaków. Pojmuje, że nieraz używa się wielkich słów dla małych rzeczy, a błahe kwestye wywołują nienawiść. Pojmuje on i czuje, że ponad ideą narodowościową góruje drzemiąca w Europie miłość ludzkości, oraz idea powszechnego braterstwa, i raz wraz wypowiada te pojęcia w swych dziełach, jak np. w dramacie „Uramo-Hof“.

Tavaststjerna występuje również jako utalentowany pisarz polemiczno-satyryczny; ale nie jest on bynajmniej pisarzem tendencyjnym, ani pionierem idei. Zajmują go wyłącznie ludzie, razem z tem wszystkim, co jest w nich zawile, nieobliczone i nie-

spodziewane. Stara się on to wszystko wyjaśnić i szuka ukrytych sprężyn czynów ludzkich.

„Wszyscy zajmujący ludzie, powiada, mają coś wspólnego z morzem. Czuje się w nich tę zawrotną głębię, tę obojętność, gwałtowność i wielkość imponującą morza, któremu nie można nigdy powierzyć się z zamkniętymi oczyma. Osobistość, której się obawiam, zajmuje mnie i przykuwa; budzi we mnie podziw i szacunek. Aktor, „morze” w człowieku, czyni go zajmującym. Rozkoszą jest studyować go, śledzić i opanować nareszcie”.

Lecz ludzie zajmują go tylko jako przedmiot studyów, gdyż pod względem ich wartości moralnej bardzo ich nisko szacuje. Nie wierzy w istnienie wielkich namiętności, sceptycznie się zapatruje na głębokie i mocne uczucia, w szlachetnych zaś czynach widzi najczęściej egoizm, próżność lub stronnicze zaślepienie.

Michał Lybeck (ur. 1864) pochodzi z wysoko wykształconej rodziny i sam posiada rozległe wykształcenie. Pierwszą z jego cech literackich jest styl, niezrównany co do zwięzłości. Bez porównań i przenośni wypowiada się on dziwnie jasno i stanowczo. W kilku po mistrzowsku dobranych barwach stwarza swe krajobrazy, w kilku delikatnych rysach charakteryzuje osoby. Talent jego jest bardzo różnorodny, obfity i oryginalny; umie być lekkim humorystą i gorzkim satyrykiem, lecz tylko natura nastraja go na ton weselszy, gdyż wogóle jego utwory tchną gorzkim rozczerowaniem. Miłość stanowi przeważnie ich przedmiot, ale ta miłość ma w sobie jakieś znużenie, pewien odcień rozczerowania i rezygnacji. Nawet gdy przedstawia miłość szczęśliwą, jak w noweli „Mozajka”, gdzie kochająca się para łączy się w dziwnie idealnym związku, znajdują się słowa tchnące tą rezygnacją.

„Nie sądź, ażehym teraz, albo w blizkiej przy-

szłości oczekiwał odpowiedzi. Zastanów się dobrze nad swoim postanowieniem, abyś znów nie postąpiła zbyt pośpiesznie.”

.

„Rozpatruj się we mnie i sądź mnie surowo, jeśli chcesz, ale nie omieszkać być sprawiedliwą... a nie zadawaj sobie przymus! Jeśli nakoniec przyjdiesz do przekonania, że można odważyć się na ten krok, to objaw mi to w starym, dobrym zaufaniu i niech ten fakt pozostanie ściśle między nami. Ja wtedy będę usiłował powstrzymać wybuch szalonej radości, i tylko ucałuję niebieskawe żyłki na twojej delikatnej dłoni i powiem cicho, że dałaś dowód odwagi!”

Winnej nowelli zawiedziona w swej miłości dziewczyna przychodzi do przekonania, że: „praca jest najpewniejszą podporą dla nazbyt wybujałej w swych marzeniach młodości. Cokolwiek bądź przyszłość zgotuje, praca ustrzeże ją od upadku na duchu”.

Wogóle trzeźwy pogląd na życie odbija się we wszystkich jego utworach, tchną one przytem gorącą miłością kraju. W sztuce żąda on zwrotu ku narodowości; po za tem jest zwolennikiem idei tegoczesnych, oraz skłania się ku modnemu obecnie panteizmowi, w którego obronie mówi jeden z bohaterów jego powieści do swej ukochanej:

„W każdą noc pogodną gwiazdzisty firmament budzi we mnie myśl o nieskończoności, a jednak nie uginam się pod jej ogromem: poddaję się z dumą prawu natury, gdyż znikoma istota moja jest częścią całości wiecznie trwającej. Śmierć jest okrutną, jak każda ślepa siła, ale pomimo myśli o tem przejściu nieuniknionem, nie tracę odwagi ani spokoju. Jedność materii, życie, jest dla mnie jedynem źródłem pra-

wdy, jest moim Bogiem. Jedna tylko przedwieczna religia istnieje na ziemi, religia miłości. Ta religia jest moją”.

Mistycyzm i symbolizm mają w nim również zdolnego przedstawiciela, ale tu staje się często zawitym i niezrozumiałym. Jest on przytem w wysokim stopniu impresjonistą, co jeszcze więcej zaciemnia głębokość jego poglądów. Zdaje się rzucać czytelnikowi same zagadki życiowe, których rozwiązać nie jest zdolny; brak mu jakby tego ostatniego słowa, któreby rozjaśniło te mroczne głębiny.

Na polu twórczości dramatycznej z autorów po szwedzku piszących, oprócz Z. Topeliusa i innych wyżej wymienionych, największą wartość posiadają utwory K. A. Tavaststjerny i Adolfa Paul'a.

Pierwszy napisał kilka jednoaktówek, a między niemi ładny obrazek charakterystyczny p. t. „Pyret” (imie fińskie dziewczynki), gdzie przedstawia, jak niebezpiecznie jest młodą dziewczynę uważać zbyt długo za dziecko. W komedii „Śmiała próba” wstępuje Tavaststjerna w ślady Strindleerga, gdy każe narzeczonemu próbować wierności swej narzeczonej przez to, iż przyjaciel jego usiłuje zdobyć jej serce. „Nie robi się prób z kobietą, którą się kocha”, są ostatnie jej słowa. Jego wielki dramat: „Interesy”, przedstawiony 1890 roku z wielkiem powodzeniem w teatrze szwedzkim w Helsingforsie, jest ostrą satyrą, wymierzoną przeciw fałszom w stosunkach towarzyskich i przekupstwu, ogólnie panującemu w Finlandyi. Największe jednak znaczenie ma jego: „Uramo-hof”, którego treść wziął ze swej powieści „Ciężkie czasy”, opisującej wojnę chłopską. Dramat ten przedstawiony został w „teatrze fińskim”. Widzimy w nim tragiczne starcie fanatycznego pojęcia sprawiedliwości z lekkomyślnym egoizmem, a jako rozwiązanie tej walki, czynną miłość i wypływające z niej przebaczenie.

Adolf Paul, jako dramaturg, większego niż Tavaststjerna używa rozgłosu, lubo jego utwory sceniczne nie posiadają barwy miejscowej. Noszą one tę samą cechę, co jego powieści i nowele. Odbija się w nich to samo gorzkie rozezarrowanie, znajdujące swój wyraz w gryzącej satyrze, jak np. w komedyi: „Stare grzechy”, gdzie srodze chłoszcze ultra-mieszczkańskie pojęcia i dowodzi, że: „stare grzechy postępują za nami i popychają nas do nowych”.

Niepospolita siła jego wyobraźni pozwala mu stwarzać w swych dramatach sceny wysokiego tragiczmu. Charakterystyka jego postaci przemawia w wybitnych raczej i śmiałych rysach, niż w drobiazgowej analizie psychologicznej; pomimo to, wszelka tragiczna, czy komiczna sytuacja wypływa w jego utworach z właściwości charakterów. Rozwiązanie życiowych problemów i powstawanie nowych idei są dla niego jedynie rezultatem życia poszczególnych indywidualiów. W jego dramatach często występuje myśl, o wielkiem znaczeniu kobiety dla mężczyzny. „Mężczyzna czci kobietę (mówi w „Starych grzechach”) i wynosi ją nad siebie, i strzeże jej, jak największego skarbu w swem życiu... a czyni to nie z obowiązku, ale dlatego, że ją kocha”. Całą tragiczność w dramacie: „Chrystyan II,” okrutny charakter tego króla autor ztąd wywodzi, iż sprzeniewierzył się swej miłości i nie zaślubił swej ukochanej „Dyveke”.

„Tak, Dyveke była twoją opatrnością (mówi jego błazen, pastać prawie po Szekspirowsku nakreślona). Twoja wielkość upadła z jej śmiercią... Ale kto ją zabił? Królu, tyś nie był nigdy godzien jej miłości, kiedy się jej tak źle odwdzięczyłeś. Nie byłeś godzien ofiary jej życia, kiedy nie potrafiłeś przyjąć po królewsku jej poświęcenia. Dokoła szerzyłeś spustoszenie, gdyż w tobie samym powstała pustka. Nie pozbedziesz się nigdy tej myśli, ile złego przez

to wyrządziłeś, że nie umiałeś być o tyle mężczyzną, aby nakazać szacunek dla swej żony, ani o tyle królem, aby stanąć obok niej i uczynić ją równą sobie."

Ztąd wnosi, że kobieta, która nie była nigdy towarzyszką i pomocą mężczyźnie, popełnia grzech przeciw swemu powołaniu. Najwyższym dla niego ideałem niewiasty jest matka, ale nie przez to jedynie, że dziecku daje życie.

"Nie to jest wielkiem, nadludzkim i boskim w kobiecie, że zostaje matką, ale że cierpi, aby nią zostać, że cierpi jeszcze dla swego dziecięcia, gdy już je porodziła, że walczy o jego życie i nawet po jego stracie matką być nie przestaje, przechowując jego wspomnienie."

Adolf Paul (ur. 1863) jest Szwedem z rodu, ale po większej części kształcił się w Finlandyi, wiele przebywał w Niemczech i nareszcie (w 1897) z Niemką się ożenił. Zaliczają go do pisarzy fińskich, gdyż napisał kilka dzieł, w których maluje kraj ilud fiński z właściwym sobie talentem. Píše on wogóle po szwedzku, z wyjątkiem kilku dzieł wydanych w niemieckim języku, a talent jego nosi cechy właściwe poetom szwedzkim: bogatą wyobraźnię, pochop do wyrywania się z granic trzeźwej rzeczywistości i zdolność do idealizowania jej w poetycznych obrazach. Pomija też w swoich obrazach Finlandyi surowość jej klimatu i przygnębiający charakter jej pustkowi, a zwraca się do wspaniałości jej krajobrazów.

Jak powiedziałem, Adolf Paul kreśląc swych bohaterów, poprzestaje na śmiałych, ogólnych rysach, lecz pozwala czytelnikowi zajrzeć głęboko w ich duszę. Małą u niego rolę odgrywają warunki zewnętrzne, okoliczności; idzie mu głównie o tajniki duszy ludzkiej, o to, co w jej głębi porusza wolę człowieka, o pierwotną przyczynę jego pragnień i czynów. Jego rzytomowe dzieło: „Księga o pewnym człowieku”

i nowela „Szarlatan”, zawierają spowiedź tak szczerą i taką znajomość natury ludzkiej w obecnym jej stadium, iż mogą stać w pierwszym rzędzie podobnych utworów dzisiejszej literatury powszechnej. Taką wiwisekcyą, na sobie samym dokonana, możliwa jest jedynie przy wygórowanym do najwyższego stopnia sceptycyzmie.

Mówi on np. w „Szarlatanie”:

„Życie stało się w jego pojęciu jedynie łańcuchem rozczarowań” i takim też je przedstawia w swych utworach! Nikt mu nie dorówna w malowaniu ludzi, rozczarowujących się stopniowo, aż do rozpacz.

Wątpi dalej o indywidualności istoty ludzkiej, a cierpienia uważa za przywidzenie lub oszukiwanie samego siebie. Za nic też ma własne swe pragnienia i dążności, ale w końcu dochodzi do przekonania, że temu on sam jest winien:

„Nie masz prawa narzekać! Nie ludzie, tylko marzenia twoje są winne twemu rozczarowaniu i twemu nieszczęściu. Stawiałeś życiu za wiele wymagań, ty, który nie miałeś prawa żadnych mu stawiać. Gdyby twoja miłość była coś warta, toby sobie ludzi cośkolwiek z niej robili; gdyby twoja przyjaźń była tak uczciwą i bezinteresowną, jak utrzymujesz, tobyś miał przyjaciół bez liku. Ale ty całkiem nie nadałeś się do miłości, jesteś bezużyteczny jako przyjaciel i zero jako artysta. Powinieneś być wstąpić w szranki życiowe, i żyć, zamiast siedzieć i śnić poetyckie marzenia!... Gonić za marami, wyprzedzone mi z własnego mózgu, a potem podawać je za dzieła sztuki! Czy to ma być sztuka? Ty żyłeś wyłącznie w wspomnieniach swoich, stworzyłeś sobie swego rodzaju Nekropolis, po którym się błąkałeś.”

Całe jednak nieszczęście swoje przypisuje temu, że jest człowiekiem, nie mającym ojczyzny. Człowiek, pochodzący w ciągu paru najbliższych pokoleń

od ludzi odmiennej narodowości, który następnie nigdzie się nie zasiedziało, taki człowiek nie jest nigdzie obcym, ale też nie czuje się nigdzie u siebie, przyjaźni się ze wszystkimi, ale nie ma przyjaciół, a charakter jego składa się z tysiącznych sprzeczności, nie posiadając żadnej barwy wybitnej: z tych właśnie rysów składa się typ człowieka bez ojczyzny.

Adolf Paul doskonale scharakteryzował w tym obrazie rodzaj swego talentu. Z wyjątkiem kilku jego utworów, gdzie rzecz rozgrywa się w Finlandyi, a i w tych przebija potęga szwedzkiej wyobraźni, jego nowele i powieści noszą charakter kosmopolityczny.

Kilkakrotnie wspomniany w tym szkicu Jakób Ahrenberg jest obok Minny Canth najwybitniejszym z tendencyjnych szwedzko-fińskich pisarzy.

Konni Zillacus ma wiele z nim wspólnego. On również albo polemizuje, albo kreśli powieści obyczajowe. W jego powieści: „W towarzystwie” przebija ta pierwsza ze szkód strony artystycznej. W powieściach obyczajowych i nowelach obrał sobie specjalność malowania życia wychodźców fińskich w Ameryce. Zna on z gruntu wszystkie tameczne stosunki, zwłaszcza w osadach fińskich, które zwiedził i wystudował aż do ich ostatecznych granic. W tych nowelach i szkicach ma na celu rozszerzenie w swej ojczyźnie znajomości stosunków amerykańskich i pouczenie swych rodaków, jakie mogą tam mieć widoki, lecz także, jakie mogą napotkać niepowodzenia, trudności i niebezpieczeństwa. Nie wypowiada zaś tego w nudny, nauczający sposób, tylko daje pełne życia obrazy przyrody, ludzi i obyczajów. Zillacus przytem posiada miły humor pocziwego „gawędziarza”, który na wszystko rzuca pewien odblask swego pogodnego usposobienia. Wydał on dwa tomy takich „Powieści z życia wychodźców.”

Z pomiędzy kobiet, w duchu fińskim po szwedzku piszących, znaczniejsze są:

Aleksandra Gripenberg, pisząca pod pseudonimem „Aarne”, która wydała jedno większe dzieło w kwestyi reformy warunków pracy kobiecej i po-prawy położenia kobiety, oraz dwa zbiorki nowel p. t.: „Żdźbła słomy” i „W ścisłych szeregach.”

Lilly London wydała większą powieść p. t. „Po-dejście.” Jak większość dzisiejszych autorek, obra-bia ona problematy społeczne zarówno w tej powieści, jak i w swoich nowelach. Opowiada zręcznie i umie utrzymać zajęcie czytelnika; ale intryga, zwłaszcza w pierwszej powieści, nie jest dostatecznie uzasadniona.

Rzeczywiście uzdolnioną autorką jest Helena Westermarck (ur. 1857), która wydała dwa tomy nowel p. t. „Z księgi studyów”, oraz większą powieść p. t. „Zwycięstwo.” Niektóre z jej nowel są po mistrzowsku skreślone, jak np. „Nastroj wieczorny”, gdzie daje podpatrzony przez okno w dzień świąteczny obrazek rodzajowy życia domowego drobnych mieszczan w Paryżu. Albo i ten drugi podobnej treści, wzięty z życia tejże sfery w Finlandyi, p. t. „W naszym kraju”, gdzie Finlandczyk-sceptyk, kosmopolita, przyznaje w końcu, iż stał się śmiesznym wskutek swych satyrycznych poglądów na stosunki miejscowe. Wielka pogoda i wdzięk zalecają jej nowele tego rodzaju. Umie ona jednakże przedstawiać życie z poważnej strony i malować ciche tragedye, przez które przechodzą dusze ludzkie, jak np. w noweli „Obowiązek”, gdzie kochająca się i pod każdym względem dobrana para nie łączy się z sobą, gdyż na obojgu ciąży obowiązek, który musieliby naruszyć wtedy. Obok serdecznego ciepła i wielkiego daru obserwacji, z jakim H. Westermarck maluje charaktery, posiada ona również i satyryczne zacięcie, któ-

re jednak nie oziębia jej uczucia. W charakterystycznym obrazku „I tak bywa” widzimy, jak kobieta świetna i wielbicielami otoczona za młodu, z biegiem lat schodzi na stopień „ciotki rezydentki”; lecz i tu, obok surowej satyry, autorka daje uczuć cały ciężki smutek takiego losu. Naturalnie — używa ona tej broni w traktowaniu problemów społecznych, które umie brać z całkiem oryginalnej strony, jak w „Premiowej służącej”, będącej takim tyranem domowym, że nagroda za długoletnią służbę należy się raczej pani, która ją tak długo trzymała.

Największe znaczenie posiada ostatni jej utwór „Zwycięstwo”, w którym usiłuje wykazać, że ten wychodzi zwycięsko z życiowej walki, kto w ciągu życia swego powiększył skarb miłości na ziemi. W ten bowiem tylko sposób nienawiść i zło da się usunąć z pomiędzy ludzi.

Pomimo pewnych słabszych stron, jest to talent wybitny, po którym wiele spodziewać się można.

Adela Weman, pod pseudonimem Parusa Atera pisząca, wydała (1898) zbiór poezyj lirycznych p. t. „Odgłosy z ziemi rodzinnej.” Tylko liryk, Kyöski Larson, o którym później będzie mowa, dorównywa jej talentowi. Poetka ta oddaje wiernie postacie wieśniaków, oraz sceny z ich życia z pogodą i humorem, który łagodzi ostrą nieraz ironię. Posiada ona umysł wielce sceptyczny, nie wierzy w trwałość szczęścia i miłości, nie wierzy w urzeczywistnienie ideałów, a w wierszu p. t. „Maryonетки” wyśmiewa chiński znę (zastój) w życiu codziennym i wśród wyższych kół towarzyskich; ale jest przytem zdolną do wybuchów szczęścia i figlarnej wesołości, lubo każdy z jej utworów kończy się rozczerowaniem. Oprócz doskonale kreślonych obrazów przyrody, uderza w jej poezjach zadziwiająca łatwość, która zdaje się formalnie igrać z formą i rymem, oraz bogactwo subtelnych od-cieni języka. Wielka rozmaitość panuje w przedmio-

tach jej poezji, a miejscami znajdują się myśli, jeśli nie najnowsze, to przynajmniej w oryginalny sposób i z wielkiem uczuciem wypowiedziane.

Szereg pisarzy nowej epoki w literaturze fińskiej otwiera profesor języka fińskiego i znakomity lingwista, August Ahlquist (1829 — 1889) pod pseudonimem A. Oksanen piszący, który wydał dwa tomy poezji p. t. „Säkenia” (iskry). To dzieło ztąd największe ma znaczenie, że pierwsze z nowoczesnych wyszło w języku fińskim z całym mistrzostwem formy w oddaniu wysoce poetycznego natchnienia. Prócz tego, poezye te same przez się godne są uwagi. Występuje w nich pełna siły i oryginalności indywidualność pisarza, zapowiadająca głębokie, potężne uczucia. Niektóre z tych poezji zyskały ogromną popularność w Finlandyi.

Inni z tego rzędu zasłużeni pisarze są:

Profesor Juliusz Krohn (1835), pochodzenia niemieckiego, ale zamieszkały w Finlandyi. Najszczerzy idealista, pełen wiary w dobro, piękno i prawdę, głęboko religijny, pisał poezye łatwo nadające się do śpiewu i zostawił pierwszy tom zamierzonej w szerokim zakresie literatury fińskiej. Obrabia w tym tomie „Kalewale.”

Kaarlo Kramsu pisał z talentem ballady treści historycznej. W utworach lirycznych jest posępnym pesymistą.

Najwybitniejszym z dawniejszych liryków, piszącym po fińsku, jest J. H. Erkkö (ur. 1849). Pochodzi on z rodziny chłopskiej, był nauczycielem ludowym, a następnie oddał się wyłącznie poezji. Jego liczne utwory posiadają wszystkie cechy poezji czysto ludowej, przypominają „Kantelar” i zdradzają ścisłe życie się z naturą. Późniejsze jego poezye („Gdy się przebudził”) mają treść filozoficzno-religijną, ale w pojęciu bóstwa jest on panteistą. Przemawia w nich za wolnością, prawdą i miłością ludzi,

a nawet dotyka idei społecznych. Z kilku jego utworów dla sceny, dramat liryczny „Aino”, wzięty z pięknego epizodu „Kalewali”, jest pełen wysokiej poezji i przejmująco tragicznego nastroju. Zajmuje on jedno z pierwszych miejsc na scenie teatru fińskiego.

Literatura dramatyczna nie ma licznych przedstawicieli piszących po fińsku, gdyż jeden tylko znajduje się teatr w Helsingforsie, grywający w języku fińskim, lubo i po innych miastach grają pomniejsze trupy, a towarzystwa amatorskie, powodowane miłością języka ojczystego, przedstawiają również utwory fińskie.

Zręcznym, pełnym humoru pisarzem jednoaktówek jest Robert Kiljander. Jego: „Nasza przyjaciółka Amalia” i „Trudne położenie”, należą do najulubieńszych sztuk teatru fińskiego. Wielkiem także powodzeniem cieszy się Matti Kurikka, ludowy pisarz dramatyczny, odznaczający się trafną i głęboką obserwacją typów chłopskich, które wprowadza na scenę. Gustaw Adolf von Numers pisze po szwedzku, ale jego dramaty historyczne, z dziejów Finlandyi czerpane, bywają zawsze wpraw przedstawiane w języku fińskim.

Najznakomitszą z autorek dramatycznych, piszących po fińsku, jest Minna Canth. Pierwsza jej komedia ludowa: „Kradzież z włamaniem”, którą napisała bez żadnej znajomości techniki scenicznej, otrzymała nagrodę na konkursie i stała się miejscem na scenie teatru fińskiego. Drugi również jej utwór podobny w rodzaju lirycznym (1888): „We dworze Roinila” okazuje talent świeży i oryginalny. Lecz później, wskutek studyów, Minna Canth przerzuciła się wyłącznie na pole kwestyj społecznych. Pierwszy z jej dramatów tego rodzaju: „Robotnica”, napada ostro na upośledzenie kobiet w ustawach obowiązujących dla tej klasy, na pijaństwo i lekkomyślność

robotników, na bigoteryę, przesady, oraz kastowość klas uprzywilejowanych. Tę walkę prowadzi ona i w dalszych swoich dramatach, biorąc niekiedy przedmiot z dziedziny bardziej idealnej, jak np. w „Rodzinie pastora”, gdzie przedstawia starcie idei postępowych z przestarzałymi przesadami. Jej dramaty: „Sylvi”, gdzie usiłuje wytlómaczyć kobietę, która zamordowała swego męża, wywołał wielkie oburzenie. Dramaty Minny Canth odznaczają się siłą i pewnością w zawiązaniu i przeprowadzeniu intrygi, ożywionym i zajmującym dyalogiem, oraz wielką prawdą i życiem w kreśleniu charakterów. Przedstawiają one niekiedy głębokie studia psychologiczne, jak „Sylvi”, w powyżej wspomnianym dramacie. Ma ona jednak wielkie wady jako autorka dramatyczna; zbywa jej na znajomości techniki scenicznej, a gdy z jednej strony za daleko się posuwa w brudnym naturalizmie, z drugiej wprowadza czasem postacie, nakreślone w przestarzałym stylu romantycznym. Dzięki polemicznemu zapałowi staje się jednostronną w malowaniu stosunków towarzyskich i charakterów. Ma ona jednak wiele na swoje uniewinnienie w tym względzie, gdyż wszystkie swe utwory pisała wśród największych trudności życiowych. Nie mając czasu na skupienie się, pogłębienie swych pojęć lub nabycie wykształcenia w literaturze dramatycznej, pisze zwykle pod pierwszem wrażeniem świeżego nieraz oburzenia, i to tłumaczy niedostatki, napotymane w jej dramatach.

Utwory dramatyczne liryka Erkkko skłoniły mnie do wymienienia pokrótce innych autorów dramatycznych, piszących po fińsku; powracam teraz do młodych liryków fińskich.

Kazimierz Leino (właściwie Lönnholm, ur. 1866) posiadający wyższe wykształcenie, należy jeszcze do dawniejszych, ale nowym utorował drogę. Jest to liryk w wykwintnej formie, pełen ognia i polotu, wy-

powiadający obrazowo, jasno i wymownie pojęcia swej epoki.

Z najmłodszych, którzy dopiero próbują sił swoich, Eino Leino okazuje wybitny talent i wielce płodny. Wydał już pięć tomów swoich poezyj, i zadziwiające jest prawdziwie, że przy takiej ofiarności tak mała wśród nich znajduje się liczba utworów mniej godnych uwagi. Trzeci tom tego zbioru p. t. „Jaskółki nocne” odznacza się głębokością myśli, oraz malowniczymi obrazami w symbolicznym rodzaju.

Kyösti Larson, pochodzenia szwedzkiego, drugi z młodych liryków po fińsku piszących, jest szczerym humorystą. Maluje on tak po mistrzowsku sceny z życia chłopów, że dopiero w Adeli Weman (Parus Ater) znalazł równą sobie współzawodniczkę. Zbysza mu jednakże na wyrobieniu strony technicznej, ale zarazem jest wolny od pustej frazeologii patryotycznej, a zato szczerza miłość tego, co swoje przemawia z jego poezyj.

Na polu ludowej prozy poetycznej pierwszy wystąpił Aleksy Kivi, który wskutek obłąkania, jakiemu uległ w 36-tym roku życia, niewielką ilością swoich utworów wzbogacił literaturę fińską. Ale w tem leży główna jego zasługa, że wskazał drogę wszystkim młodszym pisarzom w tym rodzaju. Był on synem ubożego krawca wiejskiego i dopiero mając lat 17. zaczął chodzić do szkół, a już w 23-cim roku wstąpił do uniwersytetu. Napisał kilka wielkich dramatów i świetną powieść: „Siedmiu braci”, w której przedstawia, jak bracia różnego charakteru, nie nadając się zupełnie do życia w cywilizowanym społeczeństwie, wynoszą się na pustkowia, gdzie ich spotykają najrozmaitsze wypadki. Wśród tych trudów i niebezpieczeństw dojrzewają oni i wyrabiają się. Powracają więc do swej wioski, obejmują napowrót dziedzictwo swoje, starają się o nabycie potrzebnych im wiadomości, zakładają rodziny, usiłują szerzyć

oświatę i stają się w całym znaczeniu użytecznymi obywatelami kraju. Dramatyczne jego utwory mają wielkie znaczenie dla literatury fińskiej, jak między innymi dramat „Kullerxo” i „Lea”, dramat biblijny, pełen ognia i tętnący prawie wschodnią siłą namiętności.

Po Aleksym Kivi występuje cały zastęp młodych pisarzy z chłopów i małego mieszczaństwa, którzy oddają się piśmiennictwu, nie wychodząc ze swego stanu i nie porzucając swego zawodu. Nie myślą oni bynajmniej o zaletach czysto literackich, lecz pragną jedynie podzielić się z drugimi tem, czego doświadczyli w życiu i co się dzieje w ich głowie i sercu. Pragną stać się dla swych współobywateli rodzajem drogowskazów w życiowej pielgrzymce i rozpowszechniać w ten sposób pojęcia, które uznają za pożyteczne.

Ci pisarze nie tworzą z czystej wyobraźni, nie wyszukują tematów, nie starają się o styl ozdobny; ale szczerze i poprostu opowiadają, co widzieli, słyszeli, czego doświadczyli i do jakich wniosków przyszli. Wypowiadając zaś swoje poglądy, podają je za osobiste swoje zapatrywanie, nie za jakieś prawdy bezwzględne. Nie czynią też po większej części wyboru w opisywaniu zdarzeń, tylko je wymieniają kolejno, jak się przytrafiały w rzeczywistości. Niektórzy jednak potrafią już uczynić pewien wybór, grupować fakta i oświetlać je w sposób odpowiedni, przedstawiając je z humorem, smutkiem, oburzeniem lub ironią.

Pierwszy i najdawniejszy z tych pisarzy ludowych, Pietari Päivärinta (ur. 1827) opowiada w swej autobiografii „Moje życie”, jakim się to stało sposobem, że obrał ten zawód. Oto złamał nogę i przez kilka miesięcy musiał pozostawać w łóżku. Zrobił więc sobie ławkę i na niej zaczął „próbować bazgrania”, jak się wyraża, przyczem upomina wszystkich

rodziców, aby swoje dzieci kazali uczyć pisać. Był on synem uboższego wyrobnika, który jednakże kazał uczyć swoje dzieci czytania i pisania, choć w domu często straszna panowała nędza. W dzieciństwie Pietari musiał nieraz żebrac, w 12 tym roku już sam zarabiał na siebie. Pomimo to ożenił się, mając lat 20. Młodzi małżonkowie z początku służyć byli zmuszeni: mąż za parobka, żona za gospodynię. Następnie za pożyczone pieniądze kupili sobie kawałek ziemi, zbudowali chałupę i zaczęli uprawiać rolę.

O takich Aho powiada w jednym ze swoich szkiców:

„Dwie ręce prostego parobka i prostej dziewczki, oto kapitał, który pustkowi Finlandyi zamienia w urodzajną rolę. Gdyby ci ludzie byli pozostali w służbie, to nie zazналиby tylu trosk i trudów w swem życiu. Ale pustkowie nie zostałoby uprawione, ani wytkniętą drogą dla przyszłej kultury. Nie możemy stawiać pomników na mogiłach tych pracowników, liczymy ich na tysiące”.

Päivärinte oszczędziły losy walki z głodem i nędzą. Posiadał głos piękny, wskutek czego został w swojej wsi organistą. Używał przytem wielkiego poszanowania wśród swoich współmieszkańców, którzy mu powierzali różne urzędy; był nawet ich przedstawicielem w zebraniu gminnem. Z powodu tych zaszczytów musiał często wydalać się z domu, brać udział w życiu towarzyskiem, i zaczął pić. Ale gdy raz, będąc pijanym, obił żonę, opanowały go tak bolesne wyrzuty sumienia, że siłą woli pozbył się tego nałogu.

Päivärinta, przedstawiający typ pisarza ludowego, zawsze umoralniającą tendencję, ukrytą nieraz pod miłą formą humoru albo lekkiej ironii. Po wstaje on przeciw wyrzucaniu się ze swego stanu (Laarila), lecz także karci satyrą zbyt uległość, która się nie opiera zdzierstwom i nadużyciom, a na-

wet je usprawiedliwia. Pijaństwo, naturalnie, jako najczęstsze źródło nieszczęścia, ma w nim najzaciętszego wroga, ztąd zwłaszcza, że czyni człowieka niezdolnym do pracy. Pracę bowiem, energię, ducha przedsiębiorczego, uważa Päivärinta za jedyny oręż w walce życiowej. Najuboższa rodzina osadników pustkowi spełnia w jego pojęciu wielkie zadanie cywilizacyjne. W trudach życia kobieta ma być pomocą mężczyźnie: kobieta skromna, pracowita, zabiegliwa, mężowi i dzieciom oddana, dobra chrześcianka i pewnej delikatności uczuć niepozbowiona. Takimi przedstawia Päivärinta kobiety w szczęśliwych rodzinach, ukazując z drugiej strony, jakim nieszczęściem dla męża i całej rodziny jest kobieta zła, oraz jak zgubne bywają następstwa, gdy mąż lekceważy zdanie i radę rozsądnej żony. Jak cały ogół fińskich pisarzy ludowych, jest Päivärinta szczerze religijnym. W jednej z jego nowel, gdzie syn stał się mordercą, ojciec jego przychodzi do następnego wniosku: „On musi cierpieć za mnie! Nie nauczyłem dzieci swoich bojaźni Boga, ani szacunku dla ludzi. Nie słyszały one odemnie nic innego, oprócz przekleństw i przechwałek z moich bójek”. Zagrzewa on też usilnie do miłości bliźniego i ratowania go w potrzebie. „Sama ludzkość nakazuje nam dopomódz wam w tem ciężkiem położeniu — mówi jedna z osób w jego noweli do starej żebraczki. — Gdyby się wam tu zmarło, to czemużbyśmy uspokoiли nasze sumienie, żeśmy wam nie dopomogli, mogąc to uczynić”.

Päivärinta daje nam obrazy z rzeczywistego życia z wielkim talentem malowane z natury, ale brak mu ognia i siły, gdy dotyka przedmiotów, wymagających pewnego polotu wyobraźni, lub gdy chce przedstawiać uczucia potężne, choćby to były nawet miłość macierzyńska.

Dlatego zatrzymałem się dłużej nad Päivärintą, że stanowi on typową postać i jest najznakomitszym

z pomiędzy dzisiejszych fińskich pisarzy ludowych, nie posiadających wyższego wykształcenia.

Jego przykład, o ile można sądzić, zachęcił wielu innych wśród ludzi tegoż stanu.

Najwybitniejszym i najzdolniejszym z jego naśladowców jest Kauppis-Heikki. Był on parobkiem na probostwie Isalmi, u pastora Brofeld, ojca Juhani Aho, który miał jeszcze dwóch również bardzo zdolnych synów, a ci, wszyscy trzej, oddawali się pracom literackim. Zajęli się oni kształceniem młodego Heikki, który czytając ich utwory nabrał ochoty do spróbowania swych zdolności literackich. Talent jego wyrabiał się stopniowo, ostatnie zaś jego dzieła należą do najlepszych, jakie wyszły z pod pióra fińskich pisarzy ludowych. Oprócz nowel, porusza on w większych powieściach kwestye poważne i celuje w charakterystyce pojedynczych postaci. Najznacniejszą z jego powieści jest „Przekłète dzieło”, gdzie chłopci uważają wykształcenie za przyczynę największych nieszczęść w swoich rodzinach. Wydał on też niedawno tom nowel, w których uwydatnił ogromny postęp w artystycznym odtwarzaniu życia ludu wiejskiego w sile języka i oryginalności poglądów. Wykształcenie, nabyte w domu pastora, pozwoliło mu z parobka zostać nauczycielem, a następnie samodzielnym przewodnikiem zakładu wychowawczego.

Tuż obok niego stoi Aleksander Filander, piszący pod pseudonimem Alkio, który przewyższa Heikki ścisłością opowiadania. Jest on handlarzem w jakiejś małej znaczącej miejscowości i nie posiada wcale wykształcenia szkolnego; ale wyrobił się tak dalece własną pracą, że zajmuje wybitne miejsce wśród swoich współmieszkańców, działa przeciw pijaństwu, wywiera wpływ na umoralnienie młodzieży i redaguje pismo dla niej poświęcone. Jako pisarz, odznacza się Alkio pewnym rodzajem subtelnej ironii, rzucającej jakiś od-

błysk humoru na rzeczy nawet bolesne, jak w nowelce p. t. „Ojciec w Ameryce”.

Z wymienionych powyżej pisarzy można powziąć dostateczne pojęcie o tym odłamie literatury fińskiej. Przejdziemy zatem do tych, którzy otrzymali wyższe wykształcenie i posiadają znajomość literatury powszechnej, a piszą w języku fińskim.

Na ich czele może stanąć Minna Canth. Rodzina jej pochodzi z klasy robotniczej, lecz ona sama własną pracą zdobyła wszechstronne wykształcenie. Historia jej życia nadaje się całkowicie jako temat do powieści. Minna urodziła się w Tammerfors 1844 r. Ojciec jej, będący majstrem w przędzalni Gustawa Wilh. Johnssona, chlubił się nią, jako cudownym dzieckiem, gdyż mając pięć lat, umiała już czytać i pisać, a przytem śpiewała, towarzysząc sobie na klawikordzie. W 1863 r. oddano ją do szkoły nauczycielek, która w tymże roku założoną została; ale już w następnym owa „wzorowa uczennica” wyszła zamąż za miejscowego lektora i literata, Jana Ferd. Canth'a. Posiadając zbyt niezależny charakter, Minna nie znalazła szczęścia w małżeństwie, ale mąż ułatwił jej wstęp na drogę pracy literackiej, dając zajęcie w piśmie peryodycznym, którego był redaktorem; w następstwie jednak ostre jej pióro stało się przyczyną jego dymisji z tego stanowiska.

W kilka lat później znalazł on podobne zajęcie w innem piśmie, przy którym ona znów czynną być zaczęła. Przedstawienie gościnne fińskiej trupy stało się dla niej pierwszą pobudką do pisania dla sceny; wówczas zaczęła pisać wiadomą już sztukę „Kradzież z włamaniem”, ale doszedłszy zaledwie do połowy, straciła męża i została bez żadnych zasobów z siedmiorgiem nieletnich dzieci. Pomimo to skończyła ten utwór i posłała go teatrowi fińskiemu. Zrozpaczona i do ostatka z sił wyczerpana, otrzymała niespodzianie znaczne honorarium, a jej sztuka weszła

w zakres stałego repertuaru na fińskiej scenie. Praca literacka jednakże nie mogła zapewnić jej utrzymania; założyła więc sklep z towarami wełnianymi, co jednakże nie przeszkodziło jej studyować i poświęcać się nadal literaturze. Jak powiedziałem wyżej, jest ona przede wszystkim autorką tendencyjną, posiada talent polemiczno-satyryczny, walczy przeciw wszelkiemu uciskowi i staje w obronie praw jednostki, przyczem jednakże potępia samolubne pobażanie sobie i za najwyższe zadanie w życiu stawia wierne wypełnianie obowiązku.

Frosterus (właściwie: Teuvo Pakkala), również z ludu pochodzący, czerpie swe pierwsze wrażenia z twardej tegoż doli, lecz ogranicza się na wiernym odtwarzaniu życia ludowego. Celuje on zwłaszcza głęboką znajomością psychologii dziecka. Jego „Wspomnienia z dzieciństwa” i „Kłamcy” przedstawiają niezmiernie zajmujący obraz tworzenia się i urabiania pojęć w umyśle dzieciinnym.

Juhoo Reijonen, Santeri Ingman, Arvid Järnefelt i Juhani Aho występują jako właściwi literaci z uniwersyteckim wykształceniem. Są to najznakomitsi z fińskich powieściopisarzy, ostatni zaś z nich zaczyna już zajmować miejsce w tegoczesnej literaturze europejskiej; na nim więc zakończymy ten pobieżny rys rozwoju umysłowości fińskiej.

Jeden z krytyków tak go charakteryzuje, jako pisarza ludowego:

„Pojmuje on, jak ludzie czują i myślą, co porusza ich wyobraźnię, co ich popycha do działania i co nie sprawia żadnego wrażenia spogląda z czułością na upadłych i wydziedziczonych, cała zaś jego twórczość odznacza się bezstronnym sądem i jednakowoż obejmuje uczuciem wszystkie fazy życia „swego narodu”.

W tem właśnie leży największy i najgłębszy powab jego utworów. Ale posiadają one jeszcze jeden rys, niemniej znamienity: oto, coś nakształt spokoju cichego wieczoru, jakieś uroczyste tchnienie, jakaś

prawie tragiczna podniosłość unosi się nad niemi. Kryje się w nich coś z cichej wielkości starożytnych tragedj. Spokojnie, prawie nieznacznie występuje w nich przeznaczenie w swej niezwykłej potędze i swej ponurej wielkości. Nie objawia się ono, jako przypadek, nie przychodzi z zewnątrz, ale jest nieubłaganym następstwem tego wszystkiego, co się złożyło na istotę danego człowieka, t. j. jego pochodzenie, jego skłonności, warunki życiowe i stosunki, w jakich rozwinęła się jego osobistość. Od pierwszego spojrzenia widzimy zbliżającą się katastrofę, a tuż obok stoi autor ze smutnym uśmiechem, rezygnacją, a niekiedy z wyrazem gorzkiej ironii.

Wzrok jego przenika w głąb duszy ludzkiej, aż do źródła, zkąd biorą początek najsłabsze poruszenia uczuć, woli i czynów człowieka. Dlatego też nikt inny nie zdoła malować z równą prawdą i mistrzostwem, jak w tym kraju bezwiedny instynkt zachowawczy tłumi wszelki objaw indywidualizmu, wychylającego się po za ciasne szranki odwiecznych pojęć i obyczajów. Ten stan rzeczy odbija się przede wszystkim w życiu kobiety, nie pozwalając jej na żadną odrębność. W powieści „Córka pastora” i drugiej „Małżonka pastora”, dał Aho typowy obraz życia kobiety fińskiej i stopniowego zamierania w niej bogato uposażonej indywidualności. Poemat „Kalewala” dostarczył mu przedmiotu do dwutomowej, historyczno-legendowej powieści, p. t. „Panu”. Jest to utwór wielkiej wartości artystycznej: charaktery, stosunki panujące w owej odległej epoce, pojęcia religijne i starcia różnych partyj dają złudzenie dramatu, rozgrywającego się przed oczyma czytelnika, wspaniałe zaś obrazy natury, skreślone z prawdą i żywym poczuciem, piękna, uzupełniają ogólne wrażenia.



Ten krótki rys daje dostateczne pojęcie o rodzaju umysłów w Finlandyi i wielkiem ich uposażeniu. W krótkim stosunkowo czasie literatura fińska zdobyła się na liczny szereg najróżnorodniejszych utworów, nawskroś oryginalnych i całkiem odrębny noszących charakter, a zarazem równych co do swej wartości utworom ludów, posiadających starszą o kilka wieków cywilizację.

W zakresie badań i odkryć naukowych Finowie również okazali niepospolite uzdolnienie, a na polu sztuk pięknych występują z całym szeregiem wybitnych, twórczych talentów, noszących, jak cały ich charakter i umysłowość, piętno swej narodowej odrębności.



NAGRODA STRZELECKA.

przez

Lilly London.

Po długiej, ciężkiej zimie nastało wreszcie lato, najsmutniejsze, jakie sobie można wyobrazić. Deszcz lał od rana do wieczora. Siano gniło na łąkach i gniło również w stogach nawskroś przemokłych. Zboże pokładło się na polach i porosło na pniu.

Nakoniec przyszła jesień. Wypogodziło się o tyle, że można się było wziąć do spóźnionych siewów. Z klepiska rozlegał się wesoły odgłos, wymłócone snopki odrzucano szybko, ale omlot, który pozostał na ubitej i rozgrzanej od uderzeń glebie, okazał się bardzo skąpym.

W mglisty wrześniowy poranek Esa Tonkola stał przed stodołą, patrząc posepnie na zamglony las liściasty, rysujący się w oddali. W brudnej, podartej koszuli i w płóciennych spodniach, bosy, z odkrytą głową, uznojony ciężką pracą, z płucami pełnymi kurzu, wyszedł, aby po raz ⁴odetchnąć chwilę czystem powietrzem.

Jak przetrwać zimę przy tak skąpym omłocie, Esa nie wiedział. Połowa zboża była już wymłócona, a ziarna ledwo na dwa miesiące mogło wystarczyć. Owies wymarł, nie było co na niego liczyć; dobrze, jeżeli się uda kilka korcy dla kłaczy Sirki otrzymać. Już przeszłej zimy ciężko było wyżyć, ale co teraz będzie, to Bóg raczy wiedzieć.

Przerażenie, jak zmora, dusiło Esę za gardło, gdy myślał o dziecku... Być ojcem i nie móc małeństwu dać kawałka chleba, gdy będzie głodnie! Lubo wielką biedę cierpiał, to nigdy jednak nie doznał takiego nieszczęścia, Teraz naprawdę nędza zajrzała im w oczy.

Odkąd kolej została przeprowadzoną, nie mógł nie zarobić furmanką. Przymrozki jesienne przeźrebiły cietrzewie w lesie.

Esa był świetnym strzelcem. Z wiernym psem Wihuri zazwyczaj całą jesień włóczył się po lesie, dostarczając cietrzewi petersburskim handlarzom dziczyzny. Płacono mu dobrze, a w dodatku szczęście służyło mu na polowaniu. Tego roku i myśliwstwo nie przynosiło i ten zarobek zawiódł, las cały jakby wymarł.

Namawiał dwóch znajomych myśliwych ze wsi, ażeby się razem do klubu strzeleckiego zapisać i o nagrodę konkursową ubiegać; ale oni o tem ani słyszeć nie chcieli: żal im było marki wpisowego.

Esa sam wziął się do wykonania swego planu. Wprawiał się gorliwie w strzelanie do celu. Na ścianie stodoły znaczył sadzą czarne punkty i wyszafował wszystkim swój ołów na mierzenie do nich. O polowaniu tego roku nie było co myśleć. Nagrody trzystu i dwustu marek nęciły go wielce. Gdyby jedną z nich udało się pozyskać, nie groziłaby mu więcej nędza. Ale gdyby ta ostatnia nadzieja zawiodła, to chyba jedna Opatrzność Boska mogłaby go wyrwać z toni. Esa nie wziął innego ratunku,

Było to w połowie października. Słońce rozsnuwało wesołe promienie, ale cisza zaległa wokoło; snadź, dreszcz śmierci przebiegł już przyrodę; rzuciła ostatni błady uśmiech pogody, zanim w mroźnych objęciach zimy zakrzepnie.

Bezlistne olchy z dziwną wyrazistością odbijały się w gładkiej toni błot leśnych, odzwierciedlając jak najdokładniej każdą gałązkę. Z gaju brzoźowego dolał chrypliwy głos drozda, a na równej, szerokiej łące świerszcz cichy i zmarznięty przesuwiał się między suchemi, żółtymi żdźbłami trawy. Przez wązkie leśne mostki szła gromadka ludzi. Widać było po ich powierzchowności, iż należeli do wyższych klas społeczeństwa. Tylko jeden z nich odziany był w szary fryzyski kaftan chłopski i trzymał się nieśmiało na uboczu. Za jego nogą włókł się pies, który równie jak jego pan, zdawał się być skrępowany cbcem otoczeniem. Lufy połyskiwały na słońcu; słychać było gwar wesołej rozmowy.

Zatrzymano się na skraju łąki.

Sześć białych tarcz ustawiono rzędem u stóp leśnego wzgórza: cel tam umieścić było najbezpieczniej, kule bowiem, które zdołałyby przebić tarczę, lub przeleciały mimo niej, musiały zaryć się w ziemię.

— Już to pogoda nam dopisała — odezwał się jeden z uczestników.

— Tak, mamy szczęście!

Pod jednym z krzaków zjawiło się kilka butelek wina i kieliszki. Wszystko było gotowe, aby wypić zdrowie zwycięzcy, skoro tylko rezultat konkursu będzie wiadomym.

Odmierzono odległość 180 metrów. Strzelcy stanęli w linii, kontrolerzy udali się do tarcz, aby znaleźć strzały.

— Chyba pociągnę z manierki — rzekł jeden z panów — tak drżą mi dziś ręce. — No, Tonkola, trzeba się rozgrzać, nim weźmiemy się do roboty! — zapraszał życzliwie stojącego obok Esę.

Esa nie był mu w stanie nawet podziękować, rzucił zapraszającemu krótkie: „nie teraz,” i stał bledszy, niż zazwyczaj, ze ściśniętym gardłem. Zdało się, że jest spokojny, jak zwykle.

Wihuri skulony siedział u jego stóp, ani na krok nie dając się odwieść od pana; nastawił do góry spiczaste uszki, pilnie łowiąc każde słowo.

Dano znak rozpoczęcia konkursu.

Co kilka sekund padał strzał za strzałem. Na koniec przyszła kolej na Esę.

Nigdy przedtem nie zastanawiał się on nad kwestyami socyalnemi, ale dziś znajdował się w takim naprężeniu moralnem i w takim podnieceniu, że mimowoli przyszło mu na myśl porównanie jego doli z losem jego współzawodników. Jeżeli który z nich otrzyma nagrodę, to niezawodnie pójdzie ona na wino, piwo, wesołą wieszercę w klubie, podczas gdy dla niego i dla jego rodziny byłaby zaspokojeniem najniezbędniejszych potrzeb. Była to tylko przełotna uwaga, która jednak w duszy jego żadnych przewrotnych pragnień nie obudziła, wywołała tylko gorzki uśmiech na usta, a spracowana dłoń mocniej ścisnęła strzelbę. Należało z całych sił bronić domowego ogniska. Gdyby Esa Tonkola znał był historię Tella, niezawodnie uczułby mu się w tej chwili pokrewnym. I Esa lata całe toczył rozpaczliwą walkę z najzacieśnym wrogiem swego kraju; i jemu zależało na tem, aby na pięć strzałów kula trafiła zawsze w oznaczony cel; i nad jego synkiem krążyła śmierć, nie ta wprawdzie, która mordereczym pociskiem w mgnieniu oka zabija, lecz ta, która czyha na osłabione głodem i gorączką maleństwo.

Kontrolerzy oznaczyli pierwszą seryę i znów rozpoczęło się strzelanie. Echo wystrzałów rozlegało się daleko nad jeziorem. Przerażone drozdy zrywały się szybko, odlatując w głąb lasu; na pobliskiej łące płoszyły się konie, galopując w przeciwny koniec

ogrodzenia, aby po następnym strzale, z rozwianemi grzywami znów pędzić z powrotem.

Wystrzelono drugą seryę. Esa nabił broń, Wihuri przytulił się do niego. Panowało głuche milczenie, nikt nie śmiał słowa przemówić, tylko kontrolerzy, badając tarcze, porozumiewali się półgłosem.

Wystrzelono trzecią i czwartą seryę, przyszła kolej na ostatnią.

Zimny pot zrosił czoło Esy. Nabił strzelbę. Wihuri ziewał z rozdrażnienia.

Esa podniósł broń i ręka mu zadrżała. Ujrzał w myśli bladą, poważną, przedwcześnie dojrzałą twarzyczkę Majusa... opanował się jednak i złożył, a kiedy po strzale broń opuszczał, blady był, jak ściana i nogi pod nim drżały. Za chwilę miano ogłosić rezultat konkursu.

— Esa Tonkola może być pewnym pierwszej nagrody. Takiego strzelca jeszcze nie miała dotąd Finlandya!

Małe, głęboko osadzone oczy Tonkoli zajaśniały radością, potem zamgliły się wilgotnym blaskiem, i z nagłym wybuchem uczucia zawołał z głębi serca:

— Więc przecież promień szczęścia padł i na moją chatę. Gdyby nas Bóg nie wyratował, byłaby nas nędza w zimie z domu wygnana!

Zawstydzony, że tak nieopatrznie zdradził się ze swymi uczuciami, Esa chciał natychmiast wracać. Zaledwie zdołano go zmusić, aby wypić kielich wina ze swymi towarzyszami, tak się rwał do domu.

— Moja starucha pierwszy raz w życiu zapłacze ze szczęścia, jak się o tem dowie! — rzekł z cichym, pełnym wewnętrznej radości uśmiechem.

Ze strzelbą, sterczącą między kolanami, odjechał chyboczącym się wózkiem harelskim. Sirkka całą drogę niespokojnie zezowała na bat, który, jak miecz Damoklesa, wisiał wciąż nad nią i przynaglał

do biegu, ani razu jednakże nie dotknąwszy jej wychudłego, kościstego grzbietu.

A kiedy się nareszcie omszały dach chaty ukazał, Esa z bata trzasnął i w pełnym galopie wjechał we wrota, w których już Wihuri, szczerkając i podskakując, oczekiwał pana...

SZCZĘŚCIE.

Opowiadanie

Heleny Westermarck.

Zarówno w fizycznym, jak i moralnym porządku, często najbardziej ukryte siły najmniejsze wywierają działanie. Tak było i z Maryanną.

Stanowiła ona główny motor ruchu na probostwie, nakształt jednego z tych mocnych, lubo niewidzialnych kół, któremu nie wolno się zatrzymać, gdyż w tejże chwili stanąłby cały warsztat.

Pastor był stary i nigdy się nie wtrącał do gospodarstwa, żona jego słabowita, wiecznie tylko myślała o swem zdrowiu; dzieci rozproszyły się po świecie: jedne założyły własne ogniska domowe, inne, tak chłopcy, jak dziewczęta, kończyły jeszcze studia.

— Rodzina nasza należy do tych rodów, w których tradycyjnie wiedzę nad pieniądź przekładają i gdzie urząd pastora lub nauczyciela z ojca na syna przechodzi—mawiał z dumą pastor, poczem wzdychał jednak lekko, gdyż uwaga ta nasuwała mu się najczęściej przy wysyłaniu listów pieniężnych do synów i córek—studentów i studentek uniwersytetu w Helsingforsie.

Maryanna wychowała się na probostwie. W roku

głodowym (1867—68) przyszła z nad zatoki Botnickiej z wynędziałą rzeszą ludu, ciągnącego na południe za chlebem. Zamorzeni głodem, trawieni gorączką, nie mogący utrzymać się na nogach, rodzice jej padli na progu plebanii, aby, mimo wszelkich starań i ratunku, nie podnieść się już więcej. Maryannę udało się utrzymać przy życiu i odtąd została na plebanii. Gdzież zresztą miała się podziąć sierota?

Z początku traktowano ją prawie jak własne dziecko, ale wkrótce musiała wziąć się do pracy, jak dorosła osoba, lubo dzieci pastora, będących w jej wieku, nie obciążano żadną pracą, skoro na wakacje ze szkół przyjeżdżały do domu. Maryanna nie miała nigdy być dzieckiem. Wesołość dziecinna i nadmiar życia napróżno szukały w niej ujścia; jeżeli zapomniawszy się, zaczęła skakać i bawić się z innymi dziećmi, spotykało ją natychmiast surowe napomnienie pastrowej:

— Wstyd doprawdy, aby taka duża dziewczyna bawiła się, jak dziecko!

Tak więc to świeże, młode, wesołe stworzenie zbyt wcześnie, niestety, poznało jarzmo pracy i niewoli.

Z początku była przy drobiu, ale wkrótce zajęła stanowisko zaszczytniejsze. Gorąca, wschodniobotnicka krew płynęła w jej żyłach i pchała ją do działania. Nauczyła się wielu rzeczy, o których przecież nie w książkach nie czytała, gdyż książkowa wiedza była dostępną tylko dla dzieci pastora. Nie doceniano też należycie jej umysłowego rozwoju, ani chwalono za gorliwość, z jaką się brała do każdej pracy, lecz stopniowo stała się niezbędną na plebanii. Kiedy raz wyjechała na tydzień, zdumieli się wszyscy, tak jej brak było na każdym kroku. Pastor krążył po całym domu i był ze wszystkiego niezadowolony; cały ciężar gospodarstwa spadł na jego chorowitą żonę, a młodzież znajdowała, że wszystko szło naopak. Na szczęście, Maryanna powróciła i te niedo-

godności zniknęły nagle, jak znika mgła, rozwiana podmuchem porannego wiatru. Wszystko poszło znów, jak z płatka, i nikomu nie przeszło przez głowę zapytać, dlaczego tak jest.

Mała, blada, wątła ongi sierotka wyrosła w ciężkiej pracy na wysmukłą, hołą, rosłą dziewczynę, o jasnych, mimo starannego gładzenia grzebieniem, nawet mimo użycia wody, kręących się złocistych włosach, nie dziw więc, że „Maryanna z plebanii,” ku żywemu oburzeniu dewotek, które ją za „dziecko szatańskie” uważały, czarowała oczy mężczyzn w całej gminie.

Maryanna nie uchylała się nigdy od pracy, nigdy nie pomyślała nawet, ile godzin jej poświęca. Robota paliła się w jej ręku, wiedziała zawsze o wszystkim, co się w domu i po za domem działo, a silna była przytem i podczas skwarnej dnia w lecie mogła parobka zastąpić przy robocie na roli, co zresztą wiele kobiet w tamtych stronach potrafi.

Młoda i zdrowa, nie dziw, że była nad wyraz świeżą i wesołą. Najbardziej ochocza w każdej zabawie, niezmordowana i najbardziej poszukiwana w tańcu, w niedzielny wieczór śpiewała na huśtawce, aż się rozlegało po lesie.

Nie dziwnego, że taka dziewczyna mnóstwo miała konkurentów, podobno nawet zamożny syn gospodarski oświadczał się o nią. Ale wszyscy poszli z kwitkiem. I nagle ni ztąd, ni zowąd ta śliczna, urodziwa Maryanna zakochała się w jakimś brzydkim, niepozornym chłopaku. Gdzie i jak się młodzi poznali, nikt nie wiedział. Janne nie należał nawet do gminy, był to jakiś przybłąda, który nie wiedzieć kiedy i zkad przyszedł. Ogólnie mniemano, że się w tem coś niedobrego kryje, gdyż chłop zawsze jest podejrzliwy dla wszystkiego, co mu obce i nieznane. Wyglądał na młodzika, miał łagodne, spokojne spojrzenie i ciężkie, niezgrabne ruchy, o ile nie był roz-

gniewany. Po wypiciu choćby tylko dwóch kieliszków, wpadał w szal i chwycił za nóż.

Tym ostrym nożem, „puukko,” umiał się postugiwać z nieporównaną zręcznością, czy szło o użycie go w bóje, czy o snycerskie roboty, z zawodu bowiem był snycerzem. Tak pięknych wyrzynań i rzeźb, jak jego, nie widziano jeszcze w wiosce. Szafa rzeźbiona, którą ofiarował Maryannie na zaręczyny, była prawdziwem arcydziełem.

Ale przytem był to hulaka i nic dobrego, leniwy, ociężały, bez zamiłowania do pracy, nie umiał ani postarać się o robotę, ani też obstarunków na czas wykonać.

Nikt nie mógł pojąć, z czego się ten włóczęga Maryannie podobał. Spotykały ją uszczypliwe docinki, a nawet sam pastor uczuł się w obowiązku udzielić jej kilku słów przestrogi przed tak częstem u ludzi zaślepieniem i wspominał, jak ciężkiem bywa życie w złe dobraniem stadle.

Maryanna milczała uparcie; co myślała, nikt nie wiedział, ale że ważyła jakieś postanowienie, to każdy zauważył, bo przybladła i uśmiech jej stał się mniej wesoły, a śpiewki nie tak ochocze, jak przedtem. Zdarzało się nawet, że opuściła na chwilę swe pracowite ręce, jakby szukając chwili spokoju dla doprowadzenia do ładu zamąconych myśli.

Potem jednego dnia weszła nagle do gabinetu pastora i oświadczyła mu, że musi podziękować za służbę. Chce jechać do Ameryki i Janne także. Z początku każde z nich poszuka sobie służby, a potem, kiedy poznają warunki tamtejszego życia, pobiorą się i tam osiedlą.

Wypowiedziała wszystko jednym tchem, jakby obawiając się, aby czego nie zapomnieć lub nie zataić, a gdy nakoniec o własnym domu wspominała, głos jej miał dziwnie głębokie i słodkie brzmienie.

Nie było to łatwe mówić z pastorem. Owie-

czki jego przychodziły do niego zazwyczaj ze strachem i drżeniem.

Pastor, gdy był innego zdania, miał zwyczaj okazywać, jakby nie rozumiał dokładnie, o co idzie, nadawał inne znaczenie wyrazom, badał, pytał, dochodził, aż w końcu zupełnie co innego z rozmowy wyszło, niż to, co mu powiedzieć zamierzano. Do prowadziwszy sprawę, dokąd chciał, pastor zaczynał ją teraz „jasno wyklądać,” poczem przedstawiał na nią swój pogląd, będąc moralnie przekonany, iż ten tylko był słuszny, a zalecany przez niego sposób postępowania jedynie skuteczny i prowadzący do celu. Nie łatwo też dawał się zaskoczyć, a jednak oświadczenie Maryanny spotkało go tak niespodziewanie, że w pierwszej chwili nie mógł przemówić słowa. Ale doświadczenie życiowe i ciągła wprawa w dawaniu napomnień ugruntowały w nim pewną ilość zasad i z ich punktu widzenia rzeczy biorąc, szybko wytworzył sobie pogląd na wychodźstwo.

Wtedy wybuchnął:

— Wychodźstwo jest wielkiem złem — groźnym wrogiem pastora, kraju i całego narodu; wspólnym wrogiem, którego zwalczać należy całą siłą.

On, pastor, od lat walczył z tym wrogiem ognistym mieczem swej wymowy. Na poparcie swego zdania przytaczał cały szereg niewygód, przeszkód i niebezpieczeństw, grożących wychodźcom. Obowiązkiem człowieka jest żyć tam, gdzie go Bóg umieścił; wielki czy mały, bogaty czy ubogi, do tego prawa stosować się musi, jeżeli chce być szczęśliwym, gdyż tylko w ten sposób ustanowiony przez Boga porządek w świecie utrzymanym być może.

Wygodnie rozparty w głębokim fotelu, pastor przemawiał gorąco, od czasu do czasu głęboko się zaciągał dymem z fajeczki, co zwykł był czynić, gdy był gruntownie przekonany o prawdzie słów swoich.

Niewola ludu izraelskiego w Egipcie powinna

była ludzkość nauczyć, czem jest niewola u obcych. A ktoby nie chciał w Biblii szukać rady, temu niech ostrzeżeniem będą podawane w dziennikach opisy nieszczęść i przeciwności, jakie spotykają nieszczęśliwych wychodźców. I Maryanna zrobi najlepiej, gdy zostanie w domu! Jeżeli Janne koniecznie chce jechać, to niech rusza sam na złamanie karku! Alboż to Maryannie źle jest na plebanii? Od lat przecież młodych jest jak u swoich.

Pastor zaciągnął się głęboko z fajeczki i chciał się napowrót wziąć do przerwanego czytania, zadowolony wewnątrz, że wypełnił swój obowiązek dobrego patryoty i że zarazem tą drogą hożą dniewczyne powstrzymał od zrobienia głupstwa, a w dodatku uniknął przykrości, jaką pociągnęłoby za sobą pozbycie się z domu tak dzielnej pracownicy.

Dziewczyna, jakby to było w kościele, cicho, z pobożnie złożonymi rękoma, wysłuchiwała słów pastora. Gdy zamilkł, ona, nie nawykła wyrażać własnego zdania, skłoniła się pokornie i odrzekła, że pan pastor zawsze musi mieć rację i że ona też słyszała, iż wiele przeciwności w Ameryce ludzi spotyka.

A potem zaczęła opowiadać, jakby jedno z druzgiem nie miało najmniejszego związku, iż Janne ma w Ameryce brata, który oddawna tam już osiadł i podobno dobrze mu się powodzi. Ten brat obiecał im obojgu znaleźć miejsca, a nawet bilety na podróż kupił już i przysłał.

— Niech pan pastor zechce wziąć pod uwagę, że Janne musi jechać; tu ciągną go do picia i do hulanki; chłopak musiałby się zmarnować. Człowiek, znający się tak, jak on na swoim rzemiośle, z łatwością dojdzie do czegoś w Ameryce; tak brat pisał. A służąca, która coś umie, równie łatwo znajdzie tam dobre miejsce—i to brat także pisał. A jak tylko Janne będzie miał w ręku coś pewnego, to się zaraz pobiorą.

Tak mówiąc, Maryanna patrzyła na swoje silne,

nawykłe do pracy ręce. Z niemi wszędzie da sobie radę! I stała, głęboko przekonana, że los własny trzyma w dłoni, a ostatnie jej słowa miały dziwnie głębokie i przejmujące brzmienie.

Pastor tak był zaskoczony tem energicznem i niezłomnem postanowieniem, jak również tym faktem nieodwołalnym, że bilety już były kupione, iż nie tylko o dziennikach, ale nawet o fajce zapomniał. Maryanna, dotknięta niełaską, otrzymała zwolnienie ze służby „na własne żądanie,” tak bowiem stało w chlubnem świadectwie. Swoją zły humor z powodu tego „głupiego bzika” pastor wylał na najbliższych i przez kilka dni był plagą w domu. Nietylko bowiem wyjazd Maryanny przynosił uszczerbek w domowem gospodarstwie, ale był najzgubniejszym przykładem dla młodzieży, skłonnej zawsze do wędrówek, i mógł na nowo rozbudzić gorączkę emigracyjną, którą pastor oddawna potępiał i walczył z nią bezustannie. Ażeby temu złemu zapobiedz, najbliższe kazanie zamieniło się w piorunującą anathemę na tych, którzy gwoli mamonie, dla osiągnięcia znikomych dóbr, które rdza i mól zniszczy, porzucają swój kraj ojczysty! Na podstawie tych słów Pisma Świętego pastor potępiał emigrację.

Nic dziwnego, że po tem kazaniu Maryanna poczuła się opuszczoną od Boga i ludzi. Ale mimo skruszonej miny i zaczerwienionych oczu, nie bardzo widać wzięła do serca tę naukę, gdyż jakby świeżość poranku widniała na jej twarzy, a ruchy jej miały coś wspólnego z niespokojnymi ruchami przelotnego ptactwa, kiedy się do odlotu szykuje.

W miesiąc później Maryanna, gotowa do podróży, wstąpiła na pokład wielkiego parowca, wiozącego emigrantów. Głośno sapiąc, ogromny ten czarny po-

twór leżał uwiązany w przystani, biorąc obojętnie swój żywy ładunek.

Maryanna zatrzymała się przy stosie bagażu i usiadła na swym pięknym malowanym kufrze, który zawierał wszystko, co posiadała z dóbr doczesnych. Nieco dalej Janne, ochędoźnie odziany i zmieniony nie do poznania, stał oparty o burtę i patrzył w dal w głębokiej zadumie.

CIELE BEZ OGONA,

HUMORESKA.

PRZEZ

Kuoni Zillaeus.

Miasteczko P. nie było wcale taką małą dziurą, jakby kto mógł przypuścić. Miało ono nawet swój własny dziennik i swoją własną drukarnię, a znajdowała się przecie miejscowość, gdzie tego niema.

Jak powiedziałem, miało nawet drukarnię, i to nowiutką, najświeższego systemu. To tylko jedno było jej do zarzucenia, że nie miała czego drukować. Druk dziennika zajmował jej dwa razy w tygodniu godziny wieczorne i poranne, przez resztę zaś czasu tylko smar jęczał w niej nadaremnie, a zecerzy i drukarze włączyli się bezczynni, biorąc niezasłużoną zapłatę, za którą pili, hulali i zgorszenie budzili.

Spółka, która założyła tę drukarnię, odbyła już wielokrotnie narady nad wynalezieniem, co by też dało się w niej drukować. Gadano, naradzano się, tworzone projekty, próbowano tego i owego, ale nie osiągnano żadnego istotnego rezultatu. Jak przed tem, tak i potem drukarnia stała bezczynna przez cztery dni w tygodniu.

Znów zatem zwołano posiedzenie, które również byłoby spełzło na niczem, jak wszystkie poprzednie, gdyby nie podniósł się miejscowy garbarz, będący jednym z założycieli, który pomimo to dotychczas nie śmiał zabierać głosu w kwestyach literackich.

— Nie rozumiem — rzekł — dlaczego wszystkie projekty dotychczas upadają; ośmieliłbym się więc zaproponować coś takiego, czemu nikt nie powinienby znaleźć nic do zarzucenia. Uwieńczmy nasze dzieło w ten sposób, że zaczniemy od samego początku: wydrukujmy abecadło.

Abecadło! Ależ to była myśl! Wszyscy od razu zgodzili się na nią.

Naczelnik poczty, najbardziej krytyczny umysł w całym P., polecił, ażeby natychmiast przyjęto ten wniosek i znajdował, że należało sprowadzić obrazki z Niemiec.

Kupiec korzenny z rynku był również tego zdania. Przedsięwzięcie to nie groziło żadną stratą, a mogło z czasem przynosić ładne dochody. Koszty wydawnictwa, nawet z obrazkami, nie mogły być wysokie, autorowi zaś nie miano potrzeby płacić zbyt wygórowanego honorarium. Książeczka obiecywała rozejść się w krótkim czasie.

Nauczyciel, zapatrujący się wogóle na rzeczy z bardziej idealnego stanowiska, poparł także ten wniosek w dłuższem przemówieniu, w którym wyjaśnił, że ta sprawa będzie miała „daleko sięgające znaczenie” i że zadaniem jej będzie „szerzyć światło”.

I rektor i sędzia miejscowy dzielali to zapatrywanie, a nawet doktor go nie zbijał, tylko ukradkiem uśmiechał się pod wąsem.

Pan radca handlowy, prezes Towarzystwa, jedyny radca w tem mieście, słuchał cierpliwie tych wszystkich wywodów, a pan aptekarz spisywał pilnie protokół obrad. Nareszcie, gdy dyskusja wyczerpana została, pan prezes stwierdził w udatnem przemówieniu, że szanowne zgromadzenie jednomyślnie po-

stawiało ważny wniosek i że teraz każdy powinien był wyrazić swe zdanie co do tego, czy miało się drukować abecadło i czy z niemieckimi obrazkami?

Na oba powyższe pytania odpowiadano twierdząco.

Tak więc na posiedzeniu zapadło postanowienie, poczem wszyscy członkowie odetchnęli swobodniej.

Uczuli się bowiem zdolnymi do czegoś pożytecznego i z ufnością spoglądali w przyszłość, która miała tego dowieść. Po wybraniu zatem pięciu członków, którym powierzono wydawnictwo abecadła, postanowiono udać się gremialnie do Kasyna, aby oblać to przedsięwzięcie kilku butelkami wina.

Upłynęło sześć tygodni. Tekst już był gotowy, zamówione ilustracye również nadeszły i znów zwołano ogólne zgromadzenie towarzystwa dla narady ze spółką wydawniczą i powzięcia ostatecznego postanowienia.

Nadeszło z Niemiec jakieś dziesięć klisz, gotowych do przedruku, a zebrani oglądali je i podziwiali. Jedna z nich przedstawiała Józefa, pasącego trzody swego ojca.

— Proszę tylko patrzeć na to bydło, jak wier nie jest oddane! Owce i krowy jak żywe.

— A to ciele z zadartym ogonem skacze, jak szalone.

— Prawda, z podniesionym! Nawet jest on trochę zakrzywiony.

— Właściwie obeszłoby się bez tego zadartego ogona. Pięknem to nie jest, więc po co malować takie rzeczy? — pośpieszył z uwagą naczelnik poczty, żeby też coś powiedzieć.

— Zupełnie zbyteczny żart w tak poważnej kwestyi — dodał rektor.

— Jest to nietylko zbyteczne, ale nawet gorzące — poprawił nauczyciel. — Taki widok obraża nie-

tylko smak estetyczny, lecz także i poczucie przyzwoitości.

— Co może być nieprzyzwoitego w ogonie cielęcym, który przecie musi być jakoś namalowany? — wtrącił garbarz, podsuwając kliszę rektorowi. — Ja znajduję ten obrazek ładnym, pomimo zadartego ogona.

— A ja jestem zupełnie przeciwnego zdania. Nie pojmuję, jak można dać w książce dla dzieci coś tak bezwstydnego — tu rektor rzucił z gniewem kliszę na stół. — Nie możemy umieścić nic podobnego w naszym abecadniku i oświadczam, że należy usunąć ten obrazek.

— Nie, tak nie można! — odparł kupiec korzenny. — Kiedyśmy zamówili te obrazki i zapłacili za nie, to muszą być zużytkowane. A co się tyczy ogona cielęcego, to można nie odbić wzoru w całości, jeśli ma być w tem coś gorszącego; ogon przecie da się zetrzeć z wszelką łatwością.

— Ale wtedy ciele zostanie całkiem bez ogona — zauważył aptekarz, nie podnosząc głowy z nad protokołu.

— Naturalnie! Ale co to szkodzi? obrazek przez to stanie się niemożliwy.

— Więc czy mamy przyjąć do naszego wydawnictwa ciele bez ogona? — zagadnął prezydujący, mocno zakłopotany, w jakiej formie miał przedstawić ten wniosek do przegłosowania.

Teraz podniósł się doktor i zabrał głos.

— W tem wszystkiem niema sensu — rzekł. — Całkiem zgodnie z prawdą przedstawiono tu ciele z podniesionym ogonem, gdyż to zawsze się zdarza, kiedy takie młode, rozigrane stworzenie skacze po łące. Byłby to fałsz, gdyby je inaczej odmalowano! Artysta złożył tu dowód bardzo trafnej obserwacji; byłoby wielkiem głupstwem i śmiesznością, gdybyśmy odrzucili ten obrazek, a jeszcze większem, gdy-

byśmy całkiem usunęli ogon. Tak, jak jest, obrazek ten jest ładny i naturalny.

— Naturalny, nie przeczę — odezwał się rektor już z pewnem podnieceniem — ale czy jest przez to przyzwoity? Naturalnem jest również, że pies się drapie, a świnia przewraca się w błocie, ale czy to jest sztuka i czy ta sztuka dla dzieci, zwłaszcza dla dzieci ludu jest właściwą, to właśnie pytaniem!

— No, no — wtrącił naczelnik poczty, wprowadzając trochę poruszony tą kwestyą cielęcego ogona, lecz który nie przypuszczał, ażeby rozprawy tak się zaozgaźniły, a przytem był wogóle chwiejny w wygłaszaniu zdania. — Nie trzeba zaraz brać rzeczy z tak brzydkiej strony, bo i dziecko tego tak nie bierze. Po bliższem zastanowieniu, musimy przyznać, że dzieci co lato widują cielęta skaczące w ten sposób na łąkach, a ten widok na obrazku nie może być szkodliwszy, niż w naturze.

— Tak pan sądzisz? — zawołał nauczyciel. — A ja myślę, że w ten sposób bardzo źle pojmowalibyśmy nasz obowiązek i lepiejbyśmy zrobili nie drukując wcale abecadła, ani żadnych innych książek wogóle, niż gdybyśmy mieli rozpowszechniać takie brudy. I to jeszcze gdzie — w niezsutych umysłach naszego ludu! Mamyż więc szerzyć zepsucie w czystych duszyczkach jego dzieci, a przez to niweczyć moralność w narodzie i podkopywać jego przyszłość?

— Prawda, że to ciele nie wygląda przyzwoicie z tym zadartym ogonem — przyznał garbarz — ale ja w tem nie widzę takiego zgorzelenia, dlatego właśnie, że to jest głupie, młode cielętko, od którego nie można wiele wymagać. Co innego, gdyby to był stary byk, albo krowa; ale że to jest tylko ciele, więc możemy mu wybaczyć to brykanie.

— Oho! — zawołał sędzia — jeżeli takie rzeczy mają uchodzić za przyzwoite w cielęciu, to czegoż się można spodziewać po innych? Owszem, pokazuj-

cie takie widoki waszym dzieciom, ażeby poznały, na jakim stopniu stoją wasze pojęcia moralne!

— Powiedziałem już, że w tem niema sensu— rzekł znów doktor.—Traci się czas nad takim bzdurstwem, jak ogon cielęcia, miesza się do tego moralność i obyczaje, a tu jest tyle ważniejszych rzeczy do omówienia i rozstrzygnięcia. Dajmy nareszcie pokój z tem cielęciem.

— Tu wcale nie idzie o ogon cielęcia — odparł rektor, zapalając się coraz więcej—tu raczej kwestya obraca się około myśli zasadniczej, która służy za podstawę naszemu towarzystwu i w której duchu musi ono działać przy szerzeniu światła i wiedzy. Idzie tu o daleko wyższe idee, między którymi już i u nas rozpoczęła się walka, walka między ideałami i sługami światła a rozprężeniem, które pod płaszczykiem niewinnych obrazków, naturalności i prawdy, usiłuje wśliznąć się do naszych ognisk domowych. Obowiązkiem jest moim ostrzedz towarzystwo przed tą trucizną, która może zniweczyć nasze piękne dzieło.

Doktor zniecierpliwił się, a prezydujący, którego to również nudzić zaczynało, rzekł:

— Moi panowie, proszę was, abyście nie przeciągali zbytecznie tej kwestyi! Zakończmy tedy! Oto mamy dwa wnioski: pierwszy, aby wcale nie odbijać obrazka, drugi, aby tylko ogon opuścić, ale ten drugi wniosek, o ile mi się zdaje, nie znajduje zwolenników.

Teraz sędzia poprosił o głos i rzekł:

— A ja właśnie miałem zamiar go poprzeć. Ogon stanowi tu jedynie rażący dodatek, z powodu którego niema potrzeby odrzucać całej trzody Józefa.

Ale garbarz sprzeciwiał się odrzuceniu ogona, również i naczelnik poczty i sprzeczek wybuchnęła nanowo. Nauczyciel zaczął się znów popisywać ogólnymi poglądami i z „idealnego stanowiska” wykazywał niebezpieczeństwa, jakie ztąd groziły narodowi i ojczyźnie. Rektor zaś twierdził, że kto w drobnych

rzeczach uważa nieprzyzwoitość za rzecz naturalną i jej broni, na tego w ważnych kwestiach nie można liczyć, gdyż pojęcia moralne takiego człowieka są mętne i pozbawione wszelkiej podstawy.

Doktor stracił nareszcie cierpliwość.

— Moralność—rzekł—która się rumieni z powodu cielęcego ogona, jest bardzo wątpliwej natury. Dla czystego jest wszystko czystem, ale zdawałoby się, że z tem rzecz się ma również odwrotnie. Bo trzeba mieć bardzo zbrukaną wyobraźnię, żeby w tem coś gorszego upatrzeć, że cielę ogon zadziera, kiedy skacze. Lud prosty, a tembardziej jego dzieci, nie posiadają takiej wyobraźni; znajduje się ona jedynie u ludzi, którzy dobrowolnie pobudzali ją w złym kierunku.

Tego już było za wiele. Prezydujący prosił, aby się powstrzymano od wszelkich insynuacji i pozostać ściśle w granicach omawianej kwestyi; ale rektor już powstał i wziął kapelusz i laskę, mówiąc, iż z wielkim żalem widzi, że praca, z której tak błogosławionych spodziewał się owoców, ma się zamienić w przekleństwo. On też otrząsa proch ze swego obuwia i nie może więcej należeć do towarzystwa, w którym człowiekowi, wypowiadającemu uczciwie i szczerze swoje przekonania, wolno jest ubliżać w taki sposób, iż dalsza rozprawa staje się niemożliwą—chyba przed sądem.

Wyszedł, a za nim wyszli sędzia i nauczyciel. Inni pozostali, stroskani o przyszłość towarzystwa.

A temu wszystkiemu był winien ogon cielęcia, albo raczej cielę bez ogona.

Kwestya tymczasem została nierozstrzygniętą, gdyż głosowanie, przeprowadzone w nieobecności trzech członków, będących wręcz przeciwnego zdania, nie byłoby prawomocne, o ileby nie chciano sprowadzić upadku towarzystwa. Przytem obrady zakończyć należało z powodu spóźnionej pory. Postanowiono za-

tem, wskutek propozycji prezesa, zasięgnąć jeszcze raz zdania sędziego i rektora, co też i uczyniono. Obydwaj po krótkim namysle nadesłali piśmienne przyzwolenia.

— Gdyby coś podobnego zdarzyło się w mieście—pisał sędzia—mianowicie, gdyby po ulicach biegało ciele z zadartym ogonem, a jakaś znakomitość w przejeździe to widziała, widok ten nie przyniósłby miastu zaszczytu, raczej przeciwnie. Ale w książce dla ludu nie może mieć równie złych następstw.

Rektor zaś nigdzie w Biblii nie znalazł zakazu przedstawiania skaczących cieląt na obrazkach, przeznaczonych do Historii świętej i ztąd mógł wywnioskować, że to było dozwolone. W przeciwnym bowiem razie byłaby o tem w Piśmie jakowaś wzmianka.

Na tej zasadzie abecadło zostało wydane wraz z cięciem na obrazku i jego ogonem; ale rektor, nauczyciel i sędzia wystąpili ze spółki i sprzedali swoje udziały.

MÓJ RODAK,

którego spotkałem w Ameryce.

humoreska

przez

Kuoni Zillacus.

Żegnaliśmy się właśnie z konsulem, który mnie i dwóch swych wspólników zaprosił na śniadanie, gdy wszedł policyant z oświadczeniem, że pan naczelnik się kłania i prosi, ażeby pan konsul był tak łaskaw i zechciał przyjść na chwilę do biura policyi.

— Schwytałismy dziwnego ptaszka — dodał, objaśniając to żądanie; — nie rozumie ani słowa po angielsku, ani po niemiecku, ani po hiszpańsku, ba! nawet po chińsku; więc pan naczelnik przysłał mnie, że może pan konsul ma czas i zechce zająć do nas i zobaczyć, co to za jeden.

— Znów ta przekłeta znajomość języków wchodzi nam w drogę — oburzył się mr. Bolse, sekretarz główny konsulatu — jeżeli tylko w San-Francisco trafi się człowiek, z którym żadnym ludzkim językiem nie można się porozumieć, zaraz każdy, jak w dym, do

konsula. A on jeszcze rad temu! Nie możecie poczekać i dać nam zjeść spokojnie śniadania?

— Ależ to drobnostka—przerwał konsul—zaraz się z tem załatwię. Idźcie naprzód, obstarujecie śniadanie, ja tam zaraz przyjdę.

— O! co to, to nie—odrzekł sucho pan Bolse—pójdziemy razem z tobą. Gotówbyś całe popołudnie tam siedzieć, jeżeli znajdziesz „okaz” zajmującym.

Konsul uśmiechnął się i poszliśmy wszyscy do biura policyi, które znajdowało się o kilka kroków.

Aresztowany był wysokim, barczystym, ubogo odzianym mężczyzną. Otaczała go gromada policyantów. Niejeden z nich nosił widoczne ślady świeżo stoczonej walki, uwięźnionej pojmaniem delikwenta, który stał teraz obezwładniony, z kajdanami na rękach, z twarzą tak błotem i krwią umazaną, że trudno było rozpoznać jego rysy.

— To ten? cóż on zbroił, i zacoście go uwięzili?—spytał konsul, przywitawszy się z naczelnikiem policyi.

— Właściwie nie zrobił nic złego, ale tak dziwnie się zachowywał, że byliśmy zmuszeni go aresztować. Od paru dni siedzi ciągle na bulwarze nad rzeką, w nocy tam śpi, a żywi się chlebem, który kupuje w najbliższym sklepiku. Kiedy mi o tem doniesiono, kazałem go tu sprowadzić, ale nie łatwa to była sprawa. Stawił tak zacięty opór, że pięciu moich ludzi nie mogło mu dać rady, zbili go tak, aż zemdlał, no i włożyli mu wtedy kajdany. Przyprowadzono go tu i ani słowa nie chce powiedzieć, lubo pytaliśmy go po angielsku, po francusku i po niemiecku. Albo nie zna tych języków, albo jest to idyota, który nie rozumie, co się do niego mówi.

Podczas tego długiego wyjaśnienia aresztowany stał zmęczony i obojętny, jakby mu było wszystko jedno, co z nim robią. Z rysów, jak już nadmienię-

łem, nie wiele można było wyczytać, ale pjąxory ¹⁾, w które był obuty, wskazywały dostatecznie jego pochodzenie.

— Zkąd jesteś?—spytałem po fińsku.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem i odrzekł nareszcie:

— Z Lappajärvi!

— Oho — zawołał naczelnik — to on umie mówić!

— Coś zbroił? Dlaczego pobiłeś się z policyantami?

— Co ja zbroilem?—odrzucał gniewnie—ja sam chciałem wiedzieć. Nic nie zawiniłem. Rzucili się na mnie, więc broniłem się, póki mogłem. No! i zakuli mnie w dyby, jak jakiego złodzieja, czy rozbójnika!

Konsul poprosił zaraz, ażeby mu zdjęto kajdany, naczelnik uczynił zadość jego życzeniu, zrzucając wszelako z siebie odpowiedzialność za następstwa, jakie to mogło pociągnąć za sobą.

Uwięziony zdawał się jednak nie mieć ochoty do nowej walki, poprosił tylko, aby mu dano wody do umycia. Załatwiwszy się z tem, wyglądał zupełnie porządnie i przyzwoicie, jedne tylko sińce i szramy świadczyły o przebytem starciu z policyą.

Z badaniem poszło niełatwo. Finn odpowiadał niechętnie, postępowanie jego wydawało mu się zupełnie naturalne, nas natomiast wielce zadziwiło.

Nazywał się Juho Penttinen i przybył do New-Yorku jako emigrant, z trzema rodakami. Jechali do Astoryi w stanie Oregon, gdzie mieli znajomych i gdzie spodziewali się znaleźć zajęcie przy rybołówstwie.

W New-Yorku jakiś oszust „runner” ²⁾ namówił

¹⁾ Obuwie fińskie.

²⁾ Agent.

ich, ażeby kupili bilety do San-Francisco, gdyż to taniej wypadło, niż bilety bezpośredniej komunikacji. Dopiero w San-Francisco pokazało się, że bilety te są nieważne do dalszej podróży statkiem. Zrozumieli wtedy, dlaczego były tańsze. Nie wiedzieli zupełnie, co począć, gdyż pieniądze, jakie im pozostały, wystarczały jedynie na kupno trzech biletów i to tylko na miejsca na pokładzie.

Po długim rozmyśle postanowiono, że trzech z nich pojedą, a Penttinen, jako najstarszy i najdoświadczeńszy, zostanie w San-Francisco i będzie czekał, aż mu przez powracający do San-Francisco parowiec przyślą pieniędzy z tych, które mieli tymczasem pożyczyć w Astoryi.

Tak brzmiało jego opowiadanie. Trzej towarzysze pojechali do Astoryi, a on został w San-Francisco z 20 centami w kieszeni, które mu zostały po kupnie biletów. Wystarczało to na kawałek suchego chleba, ale nie na opłatę noclegu, dlatego też nocował na przystani, tembardziej, że i statek mógł nadejść tymczasem.

Na bulwarze nikt go nie zaczepiał, ani mu przeszkadzał, tylko policyanci parę razy zagadali do niego, ale sobie poszli, bo ich nie rozumiał, dopiero dziś jeden z nich ujął go pod pachę i ciągnął z sobą. Naturalnie Finn stawiał opór, policyant zagwizdał na pomoc, nadbiegli inni i zaczęła się bójka.

Penttinen bronił się z całych sił, ale dostawszy pałką w głowę, stracił przytomność i ocknął się dopiero w areszcie z kajdanami na rękach, nie wie nawet, co zrobiono z jego workiem, na którym siedział, w chwili, gdy go napadli.

— On musi mieć bzika—zaopiniował naczelnik, gdy mu powtórzono rzecz całą.—Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie będzie czekał dzień i noc na przystani przybycia statku. Najlepiej niech tu zaczeka, zanim ci jego przyjaciele z Astoryi (jeżeli notabene istnieją) przyjadą z pieniędzmi.

— Czego on chce odemnie? — spytał Penttinen.

A gdy mu przedstawiłem propozycję naczelnika, odrzekł spokojnie, lubo z goryczą:

— Gdybym co złego zrobił, to mieliby prawo mnie uwięzić, ale żebym miał sam z dobrej woli siedzieć w areszcie, to niedoczekanie ich! Już i tak wstydu się najadłem, że mnie jak jakiego zbója ujęli... Zresztą muszę być na przystani, ażeby nie prześlepić powrotu parowca.

Napróżno staraliśmy się wytłómaczyć mu, że co innego jest być uwięzionym za przestępstwo, a co innego za pozwoleniem naczelnika przenocować w izbie poczekalnej, nie mając czem opłacić gospody, o przybyciu zaś statku zawiadomiłaby go policya. Było to rzucać groch na ścianę: Penttinen wolał nie zadawać się z policyą, a co się tyczy parowca, to wolał oczekiwać go na przystani.

Policyanci śmieli się i drwili z jego uporu, gdy tę odpowiedź powtórzyłem. Naczelnik zaś ruszył ramionami i rzekł zniecierpliwiony:

— A niech sobie idzie z Bogiem, kiedy taki głupi.

— Ale gdzie mój worek? — spytał Penttinen, uradowany z uwolnienia.

Zwrócono mu torbę w całości. Przekonawszy się, że mu nic nie zginęło, Penttinen zapytał, czy wolno palić w tej izbie, a otrzymawszy pozwolenie, wyjął kapciuch, sięgnął do kieszeni po fajeczkę i nałożywszy ją, zamknął starannie kapciuch z tytoniem w worku, a zaciągnawszy się dymem z lubością, dodał:

— Ojczyste ziele!

Następnie uklonił się, podziękował pięknie „panom, którzy go z rąk policyi oswobodzili” i już brał za kłamek, gdy pan Bolse powstrzymał go i rzekł, zwracając się do nas:

— Nie można go tak puścić! On nic nie zawinił, a został zaaresztowany, jak jaki przestępca. Ci

panowie są świadkami (wskazał na policyantów), że bronił się dzielnie i zato został niemiłosiernie zbity i uderzony pałą po głowie. Przytem w naszych czasach człowiek, który tak ufa słowu przyjaciół, że woli żyć o chlebie i wodzie, niż zwrócić się do obcych o pomoc, jest taką rzadkością, iż nie wszyscy go nawet zrozumieć są zdolni. Trzeba mu dać jakieś odškodowanie. Panowie, oto mój kapelusz! — dodał, rzucając go na początek dziesięć dolarów.

— Słusznie! — potwierdził naczelnik i, wyjąwszy swój pugilares, dorzucił jakiś banknot — była to smutna pomyłka, którą należy nagrodzić, o ile to jest w naszej mocy.

W miarę możności wszyscy poszliśmy za jego przykładem, i w jednej chwili uzbierało się około trzydziestu dolarów, które p. Bolse podał Finnowi z grzecznym ukłonem.

— Co to znaczy? — spytał tenże zdziwiony, nie biorąc pieniędzy.

A gdy mu rzecz wyłożono, odpowiedział z ukłonem mniej może eleganckim, ale równie pełnym godności:

— Dziękuję całem sercem, ale nie mogę, jak żebrak, przyjąć jałmużny. Przyśła mi napewno tyle, ile mi potrzeba, a tymczasem dam sobie radę. Jeszcze raz dziękuję panom za dobre chęci.

Czułem się dumnym z rodaka swego, tłómacząc tę jego odpowiedź na język angielski.

— Do grobu człowiek się uczy — rzekł p. Bolse, zwracając nam pieniądze — powinienem był to przewidzieć. Ten człowiek ma za dużo ambicji, ażeby przyjąć wynagrodzenie pieniężne.

Tu poprosił mnie, abym zapytał, czy „pan” Penttinen raczy przyjąć śniadanie, w którym, spodziewa się, że wszyscy obecni zechcą również wziąć udział.

— Z miłą chęcią — odrzekł Finn — bylebym tyl-

ko był pewien, że statek akurat nie nadejdzie tymczasem właśnie.

Przeszkoda ta z łatwością dała się usunąć. Naczelnik posłał z rozkazem do dyżurującego na przystani policyanta, aby mu natychmiast dał znać, jak tylko statek się ukaże, poczem pod wodzą naczelnika udaliśmy się wszyscy do najlepszej w mieście restauracji. Penttinen dźwigał na plecach swój szacowny worek, to też wejście nasze wywarło w restauracji duże wrażenie.

— Co on najlepiej lubi, ten nasz oryginał? — spytał mnie p. Bolse, gdyśmy zasiedli za stołem.

Odpowiedziałem, że zapewne chleb razowy, kartofle ze słoniną i... pączki na deser. Ku ogromnemu też podziwieniu Francuza kelnera mr. Bolse kazał podać obok szynki z garniturem salaterkę kartofli ze słoniną, trzy butelki piwa i tyleż wina szampańskiego.

Chleba razowego wprowadzić nie było na wykwintnym jadłospisie, ani też pączków, ale mr. Bolse posłał po chleb do piekarni niemieckiej, a kelner oświadczył, że ostatecznie pączki zrobić się dadzą na miejscu.

W zamówionem śniadaniu nie uczyniono żadnego wyjątku. „Co jest dobrem dla niego, to powinno wystarczyć i dla nas” rzekł mr. Bolse, chcący zachować wszelkie przepisy etykiety wobec Penttineny, lubo ten nie byłby się troszczył o to, co my jemy. byleby sam zjadł smacznie i do sytości. Ale szynka była tak wyborna, że nie pragnęliśmy żadnych potraw bardziej wyszukanych, a gdy po równie wybornych pączkach podano przepyszne truskawki kalifornijskie, wtedy i Penttinen raczył się uśmiechnąć z zadowoleniem.

Nie można go było tylko namówić na szampana...

— To szczypie w nos! — powiedział i wołał pi-

wo, nawet przy truskawkach, poczem wstał, aby nas pożegnać.

— Parowiec—rzekł—może nadejść każdej chwili, a ja obiecałem czekać na przystani. Gdybym tam nie był, to mój towarzysz, który ma przywieźć mi pieniądze, nie wiedziałby, co z niemi zrobić! Żegnam panów i bardzo panom dziękuję.

Uścisnęliśmy mu wszyscy rękę, poczem on wziął worek, który cały czas leżał przy jego krześle, i udał się na swój posterunek.

— To zuch!—rzekł mr. Bolse, gdy szerokie plecy Penttinena zniknęły za drzwiami, które się za nim zamknęły.—Zuch w całym znaczeniu tego słowa! Świat inaczejby wyglądał, gdyby na nim było takich więcej.



KIEDY MATKA UMARŁA.

Opowiadanie

Kauppi-Heikki

(Heikki-Kauppinen).

Kiedy matka umarła myślałem ze strachem, jak to będzie u nas smutno, bo ojca tak nie kochałem, a prócz niego nie było w zagrodzie żywej duszy, jedna tylko Stina, dziewczyna do podłogi, a tę mniej jeszcze lubiłem, niż ojca. Nie trzeba było większej winy, jak zrzucenie przypadkiem sznura z koła u kołowrotka, ażeby Stina ze złością nie chwytła za mnie i nie wołała na mnie:

— Ruszaj precz! On zawsze musi przyjść i coś zmajetrować! Chowają dzieci bez żadnej bojaźni, to też one nikogo słuchać nie chcą—mruzczała dalej pod nosem.

Mojem zdaniem, Stina wcale nie miała słuszości, gdyż różgi na mnie nie żałowano bynajmniej i ona sama mawiała: „Z tej miotły to już nie zostało i połowy, jak z niej zaczęli różgi wyciągać.” Ojciec po użyciu różgi zaraz zwykł był ją w ogień rzn-

cać, mówiąc: „Jeżeli będziesz posłuszny, to różgi nie będzie więcej potrzeba; ale zapamiętaj sobie dobrze, że ich nigdy nie zbraknie.” Matka rzadziej jej używała: przechowywała ją stale w jednym miejscu, z kąda wyciągałem ją zawsze, gdy nikogo w izbie nie było. Kiedy matka znów chciała mnie wybić, a różgi nie znalazła, mawiała:

— Oho, znowuś ją gdzieś podział! Biegajno prędko na podwórze i przynieś drugą!

Starałem się naturalnie innej różgi nie znaleźć, ale gdy rozkaz powtórzyła, trzeba było w końcu usłuchać. Wybierałem, rzecz prosta, zawsze najmniejszą. Jeżeli matka to zauważyła, śmiała się i na tem się wszystko kończyło. Jednego też razu kazała mi przynieść grubszą. Szczęściem znalazłem tak dużą, że znów nie można jej było użyć.

Od śmierci matki nie spotkałem się już z różgą, poszła w zapomnienie, być może, że stałem się grzeczniejszym i posłuszniejszym. Nawet Stina lepszą była dla mnie i więcej ją pociubiłem. Czasami brała mnie na kolana i gładziła po twarzy, mówiąc pieszczotliwie: „Biedny dzieciak — nie ma już matki!” Ale gdy ustyszałem, że ktoś wyraz „matka” wymówił, to mi się robiło tak smutno, że zaraz zaczynałem płakać.

Częściej też przebywałem z ojcem. Jeżeli była pogoda, ojciec brał mnie z sobą jadąc do lasu; gdy droga szła prosto, trzymałem nawet lejce, ale na zakrętach musiałem je oddawać, gdyż nie umiałem jeszcze końmi kierować. Jeździłem aż do Pekkali, ojciec jednak nie zawsze brał mnie na te wyprawy, choć się skarżyłem, że w chacie tak nudno samemu. Ojciec odpowiadał: „Nie mogę cię wszędzie brać z sobą.” Na pociechę dał mi stary zegarek do zabawy.

Pewnej niedzieli po południu, gdy znów zabierał się do wyjazdu, błagałem go na wszystko, aby mnie

zabrał z sobą. Z początku nie chciał o tem słuchać, w końcu jednak ustąpił. Włożyłem nowe ubranie, ojciec zaprzągnął konia i pojechaliśmy, ale nie do Pekkali, jeno w zupełnie inną stronę. Spytałem tedy ojca:

— A dokąd my jedziemy?

— Do Niemeli—odpowiedział.

— A są tam dzieci?

— A jakże, ale nie dowodzą z niemi. Musisz być bardzo grzeczny.

Przyrzekłem ojcu, że będę grzeczny i nie pytałem już o nic więcej.

Wkrótce wjechaliśmy do jakiejś wioski. Ojciec zatrzymał konia przed jedną z pierwszych zagród, przywiązał go do płotu i poszliśmy do chaty. Gospodarz wyszedł na nasze przyjęcie, pozdrowił ojca, a nawet przywitał się i ze mną, mówiąc:

— Patrzcie-no, to i chłopak w odwiedziny przyjechał!

Zaczeli tedy obaj z ojcem rozmawiać. O czem mówili, nie wiem, zanadto byłem zajęty przypatrywaniem się wszystkiemu, co się znajdowało w izbie. Najwięcej uderzyło mnie to, że tu komin był biały i sięgał aż do pułapu, więc dym nie szedł na izbę, jak z naszego ogniska. Pomyślałem sobie, jakby to było dobrze, gdyby i u nas był taki komin, bo nie trzeba by drzwi otwierać dla dymu, a my nie siedzielibyśmy po uszy zawinięci w kożuchy z powodu przejmującego zimna.

Wtem do izby weszła młoda dziewczyna, spojrziała na rozmawiających i wyszła. W jej spojrzeniu musiało być coś zachęcającego, bo gospodarz podniósł się zaraz i rzekł:

— Chodźcie do alkierza, proszę.

Ojciec poszedł naprzód, a ja naturalnie za nim. Usiedliśmy za stołem, i ta sama dziewczyna nalała nam wszystkim kawy: ojcu naprzód, a potem mnie.

Gdyśmy wypili, chciała nam znów nalać, ojciec przysunął swoją filiżankę i dodał:

— Chłopak i tak ma dosyć.

Uczułem się pokrzywdzonym, bo byłbym chętnie wypił jeszcze jedną.

— Daj mu jeszcze choć kawałek cukru, Liza! — rzekł stary, z czego również byłem zadowolony.

Wkrótce jednak znudziło mi się siedzieć w alkowie i wyszedłem na dwór. Na dworze gromada dzieci bawiła się w „rozbójnika.” Przyłączyłem się do nich i bawiłem się bardzo dobrze. Kiedy sprzykrzyła nam się ta zabawa, wzięliśmy się do lepienia kul ze śniegu i przerzucania ich ponad dachem. Kilku chłopaków lepiej rzucało odemnie, choć ze wszystkich sił starałem się ich prześcignąć. Aż raz poleciała moja kula — ciekawość jakim cudem — tak nisko, że trafiła w szybę i stłukła ją na drobne kawałki. Zrobiło się wielkie zamieszanie. Dzieci krzyczały: „Toś ty to zrobił!” i rozpierzchły się w jednej chwili. Byłbym chętnie tak samo uciekł, ale się bałem. Ojciec musiał się już o wszystkim dowiedzieć, bo wyszedł na dwór i krzyknął na mnie:

— Co ty wyprawiasz? Czy nie zakazałem ci hałasować i dokazywać? Wezmę ja się zaraz do różgi — bo inaczej być nie może — chociaż to przy ludziach wielki wstyd.

Rozpłakałem się ze strachu, ale w tejże chwili nadeszła owa dziewczyna, pytając, co się stało?

— Ten urwis stłukł śnieżką szybę — odrzekł ojciec już o wiele łagodniej.

— Po co się na niego gniewać? — broniła mnie Liza — to już nic nie pomoże; on to zrobił niechcący. No, mały, nie płacz, chodź do izby i ogrzej się!

To mówiąc, ujęła mnie za rękę i zaprowadziła do alkierza. Obtarłem łzy, widząc, że niebezpieczeństwo minęło, bo ojciec się rozechmurzył i rzekł tylko:

— Zobaczysz, że już cię więcej z sobą nie wezmę.

W chwilę później jechaliśmy do domu. Zapomniałem już całkiem o niemiłej przygodzie, ojciec pozwolił mi znów powozić i o zmroku stanęliśmy z powrotem w domu.

— Gdzieście to byli? — spytała mnie Stina na wstępie.

— W Niemeli — odpowiedziałem — ojciec mówił, że tak się ta wieś nazywa.

— Dobrze tam było?

— Bardzo dobrze, dostałem kawy i cukru. O stłuczonej szybie wołałem nie wspominać.

— A kto was tam kawą częstował?

— Jakaś dziewczyna, Liza na nią wołają.

— Aha, to tak! — rzekła Stina i odeszła do obory zająć się wieczornym udojem.

Upłynęło kilka tygodni. Ojciec dotrzymał słowa: brał mnie z sobą tylko do lasu. Razu jednego przyszedł do nas Wille z Pekkali. Ojciec spodziewał się go widocznie, bo tego dnia nie ruszał się z domu. Poszli tedy razem do alkierza, a ja wsunąłem się za nimi. Zaczęli rozmawiać z sobą, ale pocichu, tak, że nie mogłem dosłyszeć; zdjęty ciekawością, przysunąłem się, jak mogłem najbliżej. Aż tu ojciec mówi:

— Ruszaj do izby, do Stiny!

W izbie nie było nikogo, tylko kot mruczał, siedząc na stole. Rozszczypałem więc co prędzej patyk i zasadziłem mu na ogon. Kot zerwał się, jak szalony i miaucząc, rzucał się po izbie, a ja puściłem się za nim. Wtem weszła Stina.

— Ach, ty szkaradny łobuzie, po co taki ból sprawiasz kotu? Niech noby ojciec to widział, zobaczyłbyś... — rzekła Stina z wymówką.

Oswobodziłem kota i znów wszystko było dobre. Wtem drzwi się otworzyły i Wille wszedł do

izby. Stina spytała go, dokąd się wybierają, gdyż gospodarz tak się stroi w alkierzu.

— Na wieś — roześmiał się Wille.

— To wiadomo, ale gdzie i po co? — badała dalej Stina.

— Mogę ci i to powiedzieć — odparł wieśniak, i rzuciwszy okiem na mnie, zbliżył się do Stiny i szepnął jej do ucha kilka słów. Zauważyłem, że Stina zaczerwieniła się i rzekła:

— No, kiedy tak, to życzę szczęścia!

Wille musiał też to zauważyć, gdyż odparł:

— Nie w smak ci to?

— A mnie co do tego? — rzekła obojętnie dziewczyna — cóż mnie to może obchodzić?

— Czy tak? A może byłabyś wolała, żeby to szło o kogo innego? — przekomarzał się Wille.

— Pfe, wstydziliś się! — odrzekła Stina pogardliwie, obróciła się na pięcie i wyszła z izby.

Wille roześmiał się głośno i poszedł do ojca do alkierza.

Po chwili obaj odjechali. Nikt nie powiedział mi dokąd. Stina była cały dzień w tak złym humorze, jakby ją osa ucięła. Nazajutrz powrócił ojciec. Poskarżyłem się na Stinę, ale tata pocieszył mnie, mówiąc:

— To przejdzie, znów będzie dobra — i zaczął się ze mną bawić.

Pewnego dnia, kiedy już pierwsze ciepłe technienia wiosny dawały się czuć w powietrzu, ojciec włożył odświętne ubranie i mnie kazał się też pięknie przyodziać. Spytałem, dokąd pojedziemy.

— Nigdzie — brzmiała odpowiedź — do nas goście przyjadą. A co to? Znowuś, widzę, urwał guzik u kurtki, urwisie jeden?

— Ja nie wiem, kiedy się on mógł urwać — próbowałem się uniewinnić.

— Pewno przy zbytkach z dzieciakami. Idź, niech ci Stina przyszyje.

Wybiegłem szukać Stiny.

— Ojciec kazał przyszyć ten guzik.

— A zkadże ja go wezmę?

— Ale ojciec powiedział, że trzeba go przyszyć koniecznie.

— A niech sobie mówi. Przyjedzie tu taka, co będzie wam przyszywała guziki.

Wróciłem do ojca, wołając:

— Stina nie chce przyszyć i mówi, że przyjedzie tu taka, co będzie przyszywała guziki.

— Hm, daj jej pokój — mruknął ojciec i wyszedł z chałupy.

Wkrótce zajechali goście: mężczyzna i dwie dziewczki; jedną z nich była Liza. Ojciec tak się ucieszył, że sam nie wiedział, gdzie ich ma posadzić, a Stinie kazał co prędzej gotować kawę, ale ona wcale się nie spieszyła. Nakoniec wypito kawę i ojciec zaczął oprowadzać gości po całej zagrodzie. Powiódł ich nawet do obory. Stina już przedtem tam się schowała, ale jak ojciec z gośćmi tam przyszedł, znów powróciła do chaty. Ja poszedłem ze wszystkimi, wtem ojciec spostrzegł mnie i zawołał:

— Nie płacz się tutaj. Ruszaj do izby!

W izbie zastałem Stinę. Utkwiwszy oczy w prześtrzeń, siedziała na ławie nieporuszona.

Nagle podniosła się i zapytała:

— Nie dali ci ze swatem chodzić?

— Co to jest „swat?”

— No ten, co do obory poszedł.

— Ojciec mi kazał iść precz — skarżyłem się żałośnie.

— Będiesz miał matkę, dom sobie opatruje — ciągnęła dalej Stina.

— Matkę? to mama nie umarła? — pytałem zadziwiony.

— Z takim głuptasem niema co gadać — rzekła gniewnie Stina i wyszła, a ja nie mogłem ochłoniąć ze zdumienia.

Upłynęło kilka tygodni. Ojciec miał widocznie bardzo wiele roboty, bo prawie nigdy nie było go w domu. Jednej niedzieli znów przyjechali goście i poczęstowano ich kawą. Była to sama młodzież; chłopcy i dziewczęta. Wszyscy byli bardzo weseli, śpiewali, kręcili się w takt po izbie, na koniec nabawiwszy się do woli, rozjechali się do domów.

W kilka dni później Stina i kilka starszych kobiet napiekły ciast, nagotowały i nasmażyły mięsiwa, i zjechało się jeszcze więcej gości. Dostali nietylko kawy, ale ciasta i mięsa, i tańczyli także, ale zupełnie inaczej niż tamci. Nikt nie śpiewał, tylko Antti z Zazu grał na skrzypcach, a chłopcy i dziewczęta tak ochoczo tańcowali po tej muzyce, że poły mężczyzn i spódnice dziewcząt fruwały w powietrzu.

Bardzo zabawnie to wyglądało. Nagle ojciec chwycił mnie za rękę i zaprowadził do alkierza:

— Siedź tu! — przykazał — niema żadnej potrzeby, żebyś wszystko widział i słyszał.

Ale sam poszedł napowrót do izby.

Przykrzyło mi się w alkierzu i nie wiedziałem, jak się z niego wymknąć. W końcu postanowiłem prześlizgnąć się zręcznie przez drzwi. Udało mi się doskonale; w izbie ujrzałem z najwyższym zdumieniem, że ojciec tańczy.

— To dobrze — pomyślałem — nie spostrzeże mnie przynajmniej — i wsunąłem się w kąt niedaleko grajka.

Antti niezmordowanie wodził smyczkiem po strunach, czasami przysłuchiwał się, przykręcał śrubki, próbował strun, znów przykręcał i zaczynał grać na nowo. Dziewki i chłopcy znów puszczały się w tańiec, ale grajek znów urywał, przykręcał, próbował...

— Nic z tego, trzeba mu dać wódki — rzekł jeden z tańczących.

Przyniesiono flaszkę, grajek pociągnął kilka dobrych łyków. Chciał jeszcze więcej wypić, ale zabrano mu butelkę i postawiono zdaleka na stole.

— No, rażnego! — zawołali chłopcy.

— Wiadomo, jak gęba pełna, to i ucho nie pustel! — chwycił za skrzypki i szybciej przebiegał palcami po strunach.

Po chwili znów zaczął coś u skrzypek majstrować. Wiedziano, co to znaczy, więc podano mu wódkę, znów dobrze pociągnął, zaczął niby grać, ale wkrótce ozwał się:

— Trzeba dobrze posmarować, bo nie idzie!

— Ani kropli więcej! I tak masz w czubiel!

— Nie? No to zobaczmy! — odrzekł Antti.

Wstał, posunął się naprzód chwiejnym krokiem i zamachnął skrzypkami, chcąc uderzyć w gromadę, ale w tejże chwili ktoś dał mu szturchańca i Antti padł na ziemię, druzgocząc skrzypce, zerwał się zaraz i zaczął tłuc się po izbie, wołając;

— Kto mi to zrobił? Ja go tu zaraz nauczę grzeczności!

Nie bano się tych pogroźek i kazano mu być cicho; ale on krzyczał ciągle:

— Ja was tu wszystkich rozumu nauczę!

Wzięto go więc pod ręce i zaprowadzono do łaźni, zatarasowano drzwi i zaczęto z nim się drażnić:

— Graj tam świerszczom, dopóki ci nie wyszumi z głowy!

Grajkowi nie podobało się to pomieszczenie, krzyczał i groził, że całą łaźnię rozwali. Nie zważano na to i wołano:

— Rób co chcesz, ale nie wyjdiesz ztąd!

Tańce się skończyły. Mężczyźni zasiedli na pierwszym miejscu przy stole i gwarzyli, ćmiąc fajki. Dziewczęta umieściły się na szarym końcu, drwiły z parobczaka, który wsunął się pomiędzy nie i prze-

komarzał się z niemi. Chciały mu dać ostrą odprawę i usta zamknąć, ale że sprytny chłopak pobić się nie dał, udały, że mają już tego dosyć.

— Sam nie wiesz, co pleciesz; aż uszy bolą słuchać — podniosły się i wyszły z izby.

Na ławie pod ścianą siedziała stara prządka Greta, i ona po chwili wstała i wyszła także. Wiedziałem, że Greta z powodu starości mało co już przęda; kręcąc się raz koło obory, dosłyszałem również, jak przepowiadała Stinie, co ją w życiu spotka, dojrzałem nawet, że wyczytywała to z kartek papierowych, które nazywała „kartami”. Greta umiała z nich „wróżyć”.

Domyśliłem się, że i teraz wyszła w tym celu i pobiegłem co prędzej do obory. Nie omyliłem się: przez szparę dostrzegłem Gretę, układającą karty na dnie przewróconego koszyka. Zakolatałem do drzwi. Wystraszone dziewczęta zerwały się, Greta zebrała szybko karty i spytała:

— Kto tam?

Jedna z dziewcząt otworzyła drzwi. Spostrzegłszy marną przyczynę swego przestrachu, chciały się mnie pozbyć, ale rzekłem rezolutnie:

— Jeżeli mnie nie wpuszcicie, to pójdę i wszystko opowiem.

— No, byleś trzymał język za zębami, to wejdź!

Greta wzięta do ręki talię kart i zaczęła je kłaść nanowo. Zmieszała je, przetasowała, zebrała, znów przetasowała, potem położyła w trzech kupkach na koszyku, mówiąc do jednej z dziewcząt:

— Zbierz teraz na swoje szczęście!

Dziewka zebrała je i spojrzała na ostatnią. Była to czarna karta, więc Greta rzekła:

— Zbierz jeszcze raz!

Dziewczyna usłuchała.

— Teraz dobrze — zawołała Greta uradowana;

spodnia karta była czerwona — to pierwszy znak szczęścia!

Rozłożyła karty rzędami i ciągnęła dalej.

— Wiele rzeczy już się ziściło, wiele się jeszcze ziści. Przeszłaś ciężką chorobę, która wielki smutek pociągnęła za sobą, a także i inne rzeczy. Zle cię spotkało od czarnookiego bruneta, ale widzę tu i kobietę, która przez obmowę przyłożyła do tego ręki. Chciałaś daleką podróż odbyć, ale były potemu wielkie przeszkody.

Tu jedna z dziewcząt szepnęła:

— Toć wybierałaś się przecie jesienią do Wyborga?

— Cicho bądź! — oburknęła się dziewczka, której wrócono, chcąc usłyszeć jak najwięcej.

— Podobasz się blondynowi. Jeszcze o tem nie wiesz, ale wkrótce dostaniesz list od niego. Brunet stoi ci zawsze na przeszkodzie. Strzeż się go! Patrz! Stół weselny akurat przed tobą wypadł! Niezadługo odbędzie się twoje wesele z blondynem... Dom twojego przyszłego oblubieńca stoi nad brzegiem morza. Spotka cię też jakieś nieszczęście: pożar albo pomór na bydło. Z początku będziesz miała same córki, a potem synów: jednego albo dwóch.

Greta zamilkła. Dziewczyna bez pytania wsunęła jej w rękę kilka monet jako podziękowanie, za takie dobre wróżby.

— Teraz mnie, teraz mnie! — wołały dziewczęta.

— Jak będziecie tutaj tak długo siedziały, to spostrzegą i zaczną was szukać — ostrzegwała Greta.

— Jeszcze trochę! Spieszcie się! — nagliły dziewczyny.

— No, mnie wszystko jedno — odrzekła Greta i zaczęła tasować karty, ale w tej chwili ktoś odeknął drzwi:

— Kto tam? — zawołały przestraszone dziewczęta.

Na szczęście, była to tylko Stina.

— Oho, to tu kładziecie karty? — rzekła, wchodząc. — I tyś się tu zakwaterował? — ciągnęła dalej, zwracając się do mnie — zabieraj się, ojciec cię szuka!

— Ale nie o tem nie mów—prosiły dziewczęta Stiny—i ty, mały, pamiętaj!—wołały za mną.

— Co mam mówić?—uspokoila je Stina—i poszliśmy do chaty.

— Gdzieś to bywał? — spytał mnie ojciec na wstępie.

— Dziewczęta poszły do obory krowy obejrzeć, i on był razem z niemi — pośpieszyła z odpowiedzią Stina.

Słyszając, jak zręcznie Stina się wykręciła, zapragnąłem jej dopomódz i rzekłem:

— I nie dały sobie wróżyć!

— Aha! kazały ci nie wydać ich z sekretu — zaśmieli się wszyscy, a gromada chłopców hurmem wybiegła na podwórze. Podkradli się jak najciszej pode drzwi obory i zaczęli podglądać przez szpary. Po chwili jeden zaśpiewał:

Mądra wróżka z kart i z dłoni,
Przyszłe losy nam odsłoni.

— Nie prawdaż, dziewczęta? Otwórzcie! niech i my się dowiemy, jakie tam szczęście was czeka.

Dziewczęta otworzyły.

— Chodźcie, chodźcie. Tu niema żadnych tajemnic. Przyszliśmy tylko obejrzeć piękne krowy.

— Czyli zajrzeć w piękne karty ¹⁾ — poprawili chłopcy.

— Czyś głuchy? Powiedziałam krowy, a nie karty.

— Głuchy nie jestem, bo słyszałem przez drzwi, jakie szczęście małżeńskie Greta wam wróżyła!

— Nie prawda! Toś źle słyszał. O tem żadna i nie pomyślała.

— Nie? Czy być może? — tu zwrócił się do Greta. — Spójrz-no w karty i powiedz, jaki los mnie czeka. Jeżeli mi szczęście wywróżyś, dam ci pięć groszy, jeżeli co złego—przeżuty niuch tabaki.

— Jeżeli nie masz nic lepszego do zaofiarowania, to musisz się wyrzec wróżb, nawet gdybym innym kabałę kładła, a przecież tego nie robiłam — odrzekła Greta.

— Tem gorzej, muszę wziąć z tego, coś już innym obiecała.

Skończyło się kładzenie kabały. Dziewczęta poszły do izby, a chłopcy za niemi. Przekomarzali się i docinali sobie wzajemnie, aż do wieczery. Przy wieczery usnałem i nie wiem, co się dalej działo.

Gdym się obudził, południe już było za pasem. Goście prawie wszyscy się rozjechali, a ci, co jeszcze byli, szykowali się do odjazdu. Grajka też wypuszczono z łaźni.

Ku wielkiemu zdumieniu mojemu nie wszyscy goście się rozjechali. Liza z Niemeli nie odjechała z innymi i następnego dnia również, została z nami na zawsze. Ucieszyłem się z tego bardzo, bo pamiętałem jej dobroć dla mnie. Nie była też tak kapryśna, jak Stina.

¹⁾ Gra słów, nie dająca się na polski przetłómaczyć. Karty w języku szwedzkim—korten, krowy—korna.

Jedno tylko mnie oburzyło: musiałem odtąd spać w kuchni z Lassim, parobkiem, którego ojciec najął latem do roboty. Ale później i z tem się pogodziłem, wtedy mianowicie, kiedy już byłem tak duży, że mogłem sam na wieś chodzić, i tam dowiedziałem się niejednego, co mi przyczynę tej zmiany wytłómaczyło. To też pomyślałem sobie:

— Jest wiele rzeczy na świecie, których się nie rozumie, dopóki się jest małym.



Wśród wysp Finlandzkich,

PRZEZ

JAKÓBA AHRENBERGA.

Obrazek z roku 1855.

I.

Było to podczas wojny Wschodniej w r. 1855 Walka z półksiężycem, nad Bosforem prowadzona, dała i Finlandczykom uczuć swe przykre skutki, gdy wzdłuż skalistych wybrzeży zatoki Fińskiej zaczęła krążyć flota angielska, tak potężna, że nie widziano podobnej od czasu sławnych bitew pod Hoglund i Svensund.

Był piękny, ciepły poranek niedzielny. Dzień jasny wszedł nad wyspami i wybrzeżem, promienie słoneczne przebiły się przez lekkie mgły, nadając wszystkiemu jakieś połyskujące, srebrzyste oświetlenie.

Morze, uderzając, jakby znużone, o brzeg skalisty, przybrało bladą barwę opalu. Liczny tłum zebrał się na wybrzeżu, porośniętem szaro-zieloną trawą, i stał, oczekując w skupieniu tego, co miało nastąpić.

Byli to Łotysze, rybacy i przewoźnicy, którzy z stron bliższych i dalszych przybyli na nabożeństwo z całemi rodzinami. Mężczyźni mieli na sobie strojne, odświętne kamizele i granatowe kapoty, kobiety — ubiór wyborski, to jest jaskrawe staniki bez rękawów, które zastępowały białe bufy od koszuli, sięgające do łokcia, chustki na szyi, spódnice z ciemnem obszyciem u dołu i szerokie fartuchy z haftowanym brzegiem. Na głowie miały czepeczki, z dwoma tak zwanemi różkami, które całkowicie zakrywały ich włosy.

Pośrodku zielonego obszaru znajdował się wznieśiony ołtarz, dokoła niego kilka wielkich kamieni, a przed niemi miejsce dla pastora — stół czarnem sukniem przykryty.

Zaczął się nabożeństwo. Kustosz, Rubiainen, stary, gruby mężczyzna, bez głosu, zaczął śpiewać psalm; inni łączyli z nim swoje modły. A gdy czasem głosy się rozstrzeliły, kustosz przerywał pieśń, wołając: „no, no!” Wtedy wszyscy milkli, on zaś swym cienkim dyszkantem wprowadzał znów śpiewających na właściwą drogę.

Pastor był jeszcze zupełnie młodym człowiekiem; pochodził z tych stron; robił w kazaniach porównania z dolin Saronu i równin swej okolicy, Ilmoli; mówił o pszenicy i winnych gronach, o żeglarskich i żelniczych. Wspominał raz o Piotrowym połowie ryb i o Jonaszu w brzuchu wieloryba, na co rozjaśniły się twarze jego słuchaczy; były to rzeczy dla nich zrozumiałe. Cóż, kiedy pan pastor przeszedł zaraz do innych obrazów.

Wtem ukazała się opodal łódź, na której trzech

rosłych mężczyzn robiło wiosłami z całych sił. Gmina poznała ją już zdaleka; była to łódź należąca do trzech Łotyszów: dziada, ojca i wnuka, którzy wszyscy trzech nosili imię Krystyana. Skończyło się też poziewanie, gdyż uwagę wszystkich zajęła nadpływająca łódź, popychana z całych sił przez trzech wiosłarzy. Nie było bowiem zwyczaju w tych stronach wiosłować tak usilnie, jeśli się nie przybywało z czemś ważnem.

Łódź łotyska zatrzymała się przy domku na przystani. Młody Krystyan podsunął się do jednego z pobożnych, który znajdował się w ostatnim rzędzie i szepnął mu jakieś słowo. Rozniosło się ono lotem błyskawicy po całym zebraniu i powstał nieznacznie ruch między starszymi mężczyznami. Pastor właśnie skończył kazanie i przed rozpoczęciem modlitw zapytał kustosza, co się stało.

— Porhon się pokazał — odpowiedział szeptem tenże.

— Porhon? Co to jest? Statek? — zapytał pastor.

— Nie, proszę pana pastora; to jest ryba.

Gdy pastor rozpoczął modlitwy, znaczna część jego męzkich słuchaczy już się była ulotniła, śpiesząc do przystani, gdzie co prędzej rozciągał każdy swoją sieć, a natychmiast po prześpiewaniu psalmu pośpieszyły za niemi kobiety razem z dziećmi.

Porhon był oddawna oczekiwany w niskich, błotnistych zatokach, a starzy ludzie utrzymywali, że on w tym roku przybędzie o trzy dni później, niż zwykle.

Zaroilo się też w porośniętych trzciną i łożą zatokach rybakami w ich charakterystycznych, płaskich, czworokątnych czółnach, które ślizgają się po wodzie naksztalt norweskich „ski” po śniegu. Gdy bowiem bystre oko rybaka dustrzeże, że trzcina nie kołysze się łagodnym ruchem z biegiem fali, wtedy

jest on pewnym, że tam ryby obrały swoje siedzisko.

Miedzy tymi, którzy w tej chwili uwijali się na łodziach po zatoce, znajdował się Krystyan najmłodszy i nasza służąca, Katri, która miała przepędzić niedzielę w odwiedzinach u krewnych. Uważano ich za narzeczonych i przy swobodzie, jakiej w tych stronach używają narzeczeni, robili oni często takie wycieczki. Miłość bowiem w tych stronach nie bywa wcale sentymentalną, ani rozmarzoną, ani ofiarną, tylko pełną humoru i pustoty, aż brutalnej niekiedy; lecz z drugiej strony umie być pomocą w życiu.

Półw poszczęścił się Krystyanowi i Katri: wypróżnili kilka razy swoje sieci do łodzi, która już więcej ryb pomieścić nie mogła. Czas było pomyśleć o powrocie. Mając właśnie wypłynąć z płytkiej zatoki, ujrzeli łódź starego Krystyana, otoczoną przez całą flotylę łodzi angielskich, w których znajdujący się majtkowie targowali jego ryby. Stary Krystyan, w połowie zdziecinniały, nie mógł się z nimi porozumieć; ale że wielu Łotyszów, a między nimi jego wnuk, mówiło trochę po angielsku, więc wkrótce targ został ubity i przeładowano ryby w wielkie łodzie angielskie, które też zaraz zwróciły się ku stanowisku, zajętemu przez ich flotę. Okazały angielski „midshipman”, siedem stóp długi, z jasno-blond zarostem i wesołym spojrzeniem niebieskich oczu, ujął pod brodę ładną Katri, i w najbardziej zrozumiałym sposobie rozkazał, aby się z nim udała. Pochwycił ją bowiem wpół, posadził w swojej łodzi i wobec wszystkich wycisnął na jej policzku głośny pocałunek.

Katri broniła się, śmiała się i gniewała; Krystyan zaś, jej narzeczony, nie posiadał się z oburzenia. Chciał wprost skoczyć do łodzi napastnika i pomścić porwanie swej narzeczonej, lecz wtem zręczne kopnięcie nogą w jego słabą łódkę, wywróciło ją prawie, a on sam wpadł w wodę; na szczęście, niezbyt

głęboką w tem miejscu. Przemoknięty, wściekły i zawstydzony, Krystyan brnął ku brzegowi, a mała flotyla wśród śmiechów, żartów i śpiewów zdążyła w przeciwnym kierunku.

Wydstawwszy się na ląd, Krystyan stał na brzegu, zaklinając się, że pomści tę zniewagę. Najgorsze zaś ze wszystkiego było to, że gdy śmiechy i śpiewy dolatywały do jego uszu, zawsze zdawało mu się, iż odróżniał wśród nich głos swojej Katri. Zazdrość, obrażona miłość własna i zraniona próżność gotowały się w jego piersi, ale gniew jego przedewszystkiem zwrócił się przeciw narzeczonej, lubo ta właściwie nie była winna przygodzie, jaka ją spotkała. Idąc z powrotem do domu, Krystyan zaciskał pięście od czasu do czasu i chwycił za swój pas, czy za nim siedzi nóż „punkko.”

Przebrawszy się w suchą odzież, poszedł znów na brzeg morski, nie mogąc usiedzieć spokojnie, a echo muzyki wojskowej z angielskiej fregaty, wygrywającej wesołe tańce, do coraz większej doprowadzało go wściekłości. Nie mógł nareszcie dłużej wytrzymać zeskoczył z małego przylądka, wysunął najlepszą łódź żaglową, podniósł maszt i naciągnął żagiel. Niemawieść i chęć zemsty opanowały go do tego stopnia, że musiał działać, choćby z narażeniem życia.

Gdy woda zaszumiała z pod dzioba łodzi, a ta pruć zaczęła głębokie fale, Krystyan doznał znacznej ulgi, uspokoił się nieco i chwilę się namyślał.

— Nie, nie daruję tego — rzekł nareszcie i popłynął dalej.

Dopłynawszy do stałego lądu, wysiadł i dał znać naczelnikowi o tem, co zaszło i czego był świadkiem.

Była już prawie północ, gdy rybacy i Łotysze z kobietami swojemi powrócili z wesołej zabawy na angielskiej fregacie.

Lecz postępek młodego Krystyana wydał owo-

ce; nazajutrz przybył naczelnik z dziesięciu żołnierzami, którzy zabrali i uwięzili jego ojca i narzeczoną. Katri płakała po całych dniach, a starzec zdzieciniał, siedząc w ciemnym kącie więziennej izby, śmiał się, mówił coś do siebie i podśpiewywał, co tem więcej przerażało biedną dziewczynę.

I to było wszystko, co Krystyan osiągnął ze swej zemsty. Uwięziono tylko jego ojca i narzeczoną, gdyż nikomu się nie chciało wyszukiwać reszty winnych wśród skalistych wysp, na których mieszkali. Dla pozorów więc zabrano tych, których się zabrać dało, a resztę zostawiono w spokoju.

Ciężko smutny, zawstydzony i zły na siebie i drugih, zszedł Krystyan do swej łodzi. Pragnął uciec z tej wyspy, która go niegdyś tak pociągała, jak kraj ojczysty pociąga człowieka, który długi czas przebywał na obczyźnie. Napół przytomny, jak we śnie, zszedł na sam brzeg nad morze, gdzie zostawił swą łódkę.

Powracał na wyspę podczas przypływu morza, musiał więc wciągnąć łódź dobry kawał na ląd; obecnie woda opadła i łódź jego leżała o parę sążni od brzegu. Krystyan pochylił się i ujął ją z przodu, chcąc ściągnąć na morze, ale nie mógł dokazać tego. Spróbował raz jeszcze. Gdzietam! Łódź, która, zawsze dawała się spychać z taką łatwością, była tym razem, jak z ołowiu. Mocno wzburzony Krystyan zadawał sobie pytanie, co mogło być tego przyczyną? Jeszcze raz użył całej siły swej, pochylił się i dźwignął łódź z taką mocą, że mu krew uderzyła do głowy, a wtedy ujrzał, iż Neck przypatrywał mu się, wysunawszy głowę nad burtą. Krystyan widział wyraźnie jego zielone oczy, wytłupione na wierzch, jak u raka. Słyszał, jak ten zły duch morski cmokał wązkami, blademi wargami, jak się śmiał, a nareszcie ze swą okragłą głową i pokręconym, jak stary

wiecheć kadłubem skoczył w morze. W tej samej chwili łódź, jak piórko, ześlizgnęła się na wodę, lecz Krystyan padł, jak apopleksyą rażony, od spojrzenia w zielone oczy złośliwego Necka.

Nie wiedział, jak długo tak przeleżał i zbudził się dopiero z nadejściem nowego przypływu, gdy woda dosięgła jego głowy, odwróconej od morza.

Spojrzał dokoła napół przytomnym wzrokiem i z wolna przypomniał sobie, jak straszne miał widzenie. Groziło mu nieuniknione nieszczęście, tym razem jednak nie padł jeszcze ofiarą morskiego ducha.

Ale we dwa tygodnie później, gdy wybuchnął pożar na okręcie angielskim, „Trägsund,” Krystyan brał udział w jego ratunku. Pragnąc wynagrodzić swój zły postępek, czynił, co tylko mógł. Niezmordowany, narażał się bez pamięci i zapewne padł ofiarą swej odwagi; nikt się wtedy nie dowiedział, co się z nim stało. Tę tylko miał jeszcze pociechę, że na krótko przedtem niedołączny ojciec jego został uwolniony.

II.

Upał kanikularny zaległ nad wyspami wybrzeża fińskiego. Słońce tak piekło, że skorupa ziemi pękała, a wyiskrzony złoty blask jego pokrywał ogrody, pola i lasy, jak werniks obrazy malarza.

Stojąc na warcie, Osip Sidorowicz przechadzał się tam i napowrót w słonecznym skwarze, znękany, lub raczej melancholijnie usposobiony. Pamiętał parę ciemnych oczu, pasowe usteczka, zgrabny, zadarty nos i to wszystko w niepojęty sposób wabiło go het, daleko, do miejsc, o których nie chciał myśleć, których wspomnienie zalewał nieraz całemi potokami wódki.

Tego jednakże nie mógł uczynić w tej chwili, gdyż, po pierwsze, znajdował się na służbie, a powtórne wódki tu nie było; dlatego wspomnienia opanowały go z taką siłą. Wzdychał więc i postękiwał, chodząc tam i napowrót pod palącymi słońca promieniami. Marzył o swej dalekiej ojczyźnie w Rosyi i widział w duchu kwitnący step, okiem nieprzejrzany. Jedno tylko drzewo stało tam na wzgórzu, ocieniając kilka lepianek, otoczonych krzakami kwitnącego bzu. Tam on niegdyś mieszkał z ojcem i matką, tam miał wtedy narzeczoną, z czarnymi oczyma. Ale to wszystko minęło. Po co było myśleć o tem! Osip zanucił wesołą piosenkę żołnierską, chcąc odpędzić ten obraz; ale on tkwił przed nim uparcie, jak w panoramie: wciąż widział łzy i czuł gorące pocałunki swojej dziewczyny, gdy pod krzakiem bzu żegnała go na całe życie. Bo kto w owym czasie przywdział mundur żołnierski, ten na całe życie żegnał się ze swoimi. Młodym i silnym zabierano go rodzinie; złamanym starcom powracał w strony rodzinne, gdzie nieraz mało kto pamiętał go już ledwie z nazwiska. Tak było z Osipem i taki los czekał go w przyszłości. Miał lat dwadzieścia; kiedy opuścił dom rodzinny, służył już lat piętnaście i miał jeszcze przesłużyć drugie tyle. Ile on widział, ile wycierpiał od tego czasu!... Myśl o domu rodzinnym była mu najcięższą ze wszystkiego.

Kiedy tak w gorące dni letnie oddawał się wspomnieniom, zapominał się przy mustrze i bywał karany. Raz nawet te wspomnienia skusiły go do tego stopnia, że spróbował uciec, za co potem przez kilka lat musiał pokutować. Dlatego też starał się utopić je w wódce i stopniowo mu się to udawało.

Ale dziś, przy jasnym dniu słonecznym i ciemnych oczach dziewczyny, osadzonej w areście, zmartwychwstały pogrzebane marzenia. Gdy go tylko zwolniono, natychmiast pośpieszył do okienka

izby więziennej, ażeby zanieść pociechę uwięzionej.

Usiadł pod okienkiem ze swoją harmonijką, wydobywając z niej najśłodsze tony, śpiewał pieśni ze swych stron rodzinnych i próbował tłumaczyć po fińsku najgorętsze strofy. Bez skutku. Dziewczyna zdawała się niepokieszona.

— Co myślisz, Osipie? — pytała. — Jak się to skończy? Czy sroga czeka mnie kara? Mój Boże, czyżbym ja kiedy była pomyślała, że wytańczyć się i zabawić może być zbrodnią! I nawet nie byłam temu winna, że się tam z innemi znalazłam tego nieszczęsnego wieczora, bo ten długi dryblas porwał mnie, jak dziecko, na ręce i przesadził do swojej łodzi.

— I pewno cię pocałował, co? — zapytał Osip ponuro.

— A jakże! Ależ zato nie mogą przecie karać! To byłoby coś okropnego! Co myślisz, Osipie? Bo gdyby mieli mnie zesałać, albo gdyby... (tu zrobiła odpowiedni ruch ręką). Och, wtedy... wtedybym się utopiła!

— Różgi, myślisz? — odrzekł Osip dobrodusznym tonem.

— Etl co to znaczy? Kto w życiu nie brał różeg? Wszyscy je brali, cały świat, ja także nieraz... To lepsze, niż siedzieć w kozie.

— Ty brałaś różgi, Osipie? Ależ to jest okropna hańba. Potem niepodobna ludziom spojrzeć w oczy. Ktoby mnie wtedy jeszcze chciał, gdyby... nie, to niepodobna!

I zaczęła szlochać głośno.

— Ktoby ciebie chciał? Ja chciałbym ciebie! Różgi bołą, ale gorzej boli patrzeć, gdy ty płaczesz. Nie płacz, moja gołąbeczko, nie płacz. Jeszcze się nie stało. Obetrzyj oczki, moja ty złota ptaszynol! Poczekaj, ja ci zatańczę i zaśpiewam.

I z harmonijką w ręku zaczął tańczyć skoczne-

go kozaka, pomimo skwaru, aż mu pot strumieniem spływał po twarzy. Katri w rzeczy samej trochę uśmiechać się zaczęła.

Ujrawszy tak dobry skutek swych usiłowań, Osip oszalał prawie z radości. Wskoczył na pustą beczkę pod okienkiem i w gorących słowach to po fińsku, to po rosyjsku — zaczął odmieniać słowo: „ja lublu!” Chciał porwać dziewczynę i uciec z nią w stepy, gdzieby ich nie znalazł zły los, który prześladował oboje.

Lecz w chwili, gdy w ten sposób wylewał przed nią całe swe serce, usłyszał nagle nazwisko swoje. Wzywano go do kapitana.

* * *

Było to w ostatnich dniach sierpnia. Księżyc miał właśnie wzejść, lecz jeszcze krył się w połowie za lekkim obłoczkiem, czekając, aż ostatni brzask wieczornej zorzy zagaśnie na zachodzie. Niedługo trwało to oczekiwanie i z wolna posuwając się na horyzoncie, księżyc rzucił garść świetlanych promieni na morskie fale, na pola i aż do izby więziennej, gdzie Osip siedział z Katriną. Dziewczyna przemawiała gorąco, popierając swe słowa żywymi ruchami, to płacząc, to błagając miękkimi, z głębi serca idącymi słowami, którym on coraz więcej się poddawał.

Nikt się nie dowie, jak ona uciekła. Ona go ni gdy nie wyda. Mieli oderwać parę gontów z dachu, przerzucić na zewnątrz sznur, uwiązawszy go u belki, a wtedy powiedzą, że ona uciekła bez niczyjej wiedzy. Ona schowała się tak doskonale, że jej nikt nie znajdzie, a jak wojna się skończy — wiecznie przecie trwać nie może — wtedy ona zostanie jego żoną, bo któżby wtedy jeszcze pamiętał ową Katrinę? On płakał, całował ją, bronił się, ale w końcu uczynił, czego chciała. Gdy wszystko było gotowe, Osip porwał ją

w objęcia i przycisnął namiętnie do piersi, błagając prawie z rozpaczą:

— Nie zawieź mnie, nie zapomnij o mnie!

Czuł zarazem, jak pilno jej było wyrwać się z jego objęcia; przeczuwał, że jak tylko ją puści, to nie zobaczy już więcej jej ciemnych oczu; patrzył następnie, jak między wielkimi łomami kamieni prześladała się nad morze. Nie mógł już teraz wątpić, ona go oszukała. Wszystko było z innym wcześniej ułożone. Jak i kiedy, nie wiedział tego. Ale tam u wybrzeża czekała łódź, którą dwa silne mężczyźni ramiona pchnęły na otwarte morze i która łotem strzały puściła się po księżycem osrebrzonej fali.

Osipa nagle porwał gniew, chwycił za karabin i naciągnął kurek. I cóżby zyskał? — jeszcze jedno nieszczęście: nie, on nie chciał tego. Zamknął drzwi od więziennej izby i zaczął znów maszerować przed nią. Wtem postawił w kącie karabin, wyjął flaszkę z wódką i zaczął z nią manewrować.

* * *

Chłopcy z całej wyspy zebrali się przed arestem, gapiąc się na Osipa. Zdawał się bardzo wesóły. Dziewczyna uciekła z więzienia, a on śpiewał i tańczył, jak szalony, potrząsając z tryumfem próżną flaszką. Nieszczęsny, poszedł wkrótce w inny taniec, wobec ludności całej wyspy, lecz utrzymywał do końca, że wódka koi cierpienia miłosne i leczy wszystkie rany.

* * *

Na wielkim kongresie w Paryżu 1856 r., przy zawieraniu sławnego pokoju, musiano wśród warunków zamieścić tajemną klauzulę, dotyczącą naszej Katri, gdyż jej zdradę, polegającą na całowaniu się

z midshipmanem Jej Kr. Mości królowej Wiktoryi i wytańczeniu się pod angielską flagą, pozostawiono bez kary. Wyszła ona później za jakiegoś Łotysza i zamieszkała na jednej z wysp. Ale do najpóźniejszego wieku przy każdej sposobności opowiadała swoją przygodę z 1855 r.

STARA WARYATKA.

NOVELA MINNY CANTH.

Nazywano ją „starą waryatką”. Mieszkała na samym końcu przedmieścia, za starym omentarzem, ponieważ tam mieszkania były najtańsze. Musiała żyć oszczędnie ze szczupłego dochodu i małego zarobku, jakiego jej dostarczały roboty ręczne. W samem mieście płacono dziesięć marek miesięcznie za taki pokój, za jaki ona płaciła siedem. Ten pokój był wprawdzie nędzny i trącił rudą, piec w nim dymił, ściany były czarne, okno nie przystawało; lecz ona tak się tam wżyła, że przemieszkawszy w nim dziesięć lat, opuścić go więcej nie chciała; czuła się w nim u siebie.

Nie miała przed kim otworzyć serca; ale gdy w swoim pokoiku siedziała w myślach pogrążona i wzrok jej padł na którykolwiek ze znajdujących się w nim przedmiotów, nagle życie budziło się w tych ścianach, sprzęty mówiły z nią i uciszały jej ból. Teraz już

przestał jej ciężyć brak stosunków z ludźmi. Czuła się tu bezpieczną i tylko zmuszona wychodziła, a załatwiwszy swoje interesy, powracała co prędzej, zamykając z pośpiechem drzwi za sobą, jakby ją kto gonił.

Był jednak czas, kiedy nie nazywano jej „starą waryatką”. Niedgdyś znano ją pod imieniem Sary Salin i był czas, kiedy dźwięk tego imienia przyspieszał bicie serca i rozjaśniał twarz. Ale to było już dawno. Obecnie była ona chudą, zwiędłą starą panną, której widok przestraszał dzieci, bawiące się na ulicy. Uciekały przed nią, albo gdy przeszła, wołały: „stara waryatka”, „stara waryatka!” Panowie wymijali nie patrząc na nią, a kobiety, dla których wykonywała roboty kanwowe, zapłaciwszy, odprawiały protekcyjnalnem skinieniem głowy. Nikt nie pomyślał, że i ona niedgdyś była młodą i ładną. Niewielu już znajdowało się takich, którzy ją wtedy znali, a i ci zapomnieli o tem w życiowym odmiecie.

Ale ona pamiętała doskonale i w szufladzie starego biurka chowała pamiątki, które jej to przypominały. Leżała tam jej fotografia z owych czasów, tak pocięta i wyblakła, że ledwie rysy twarzy rozemnieć się dawały, można było jednak wyrobić ztąd sobie pojęcie, jak ona wtedy wyglądała z jasnymi blond lokami, w lekkiej białej sukni balowej, z atłasowym, mocno wyciętym stanikiem bez rękawów. Miała świeżutki ten strój na sobie w najszczęśliwszym i najpamiętniejszym dniu swego życia. Mieszkała wtedy z matką w mieście Frederikshaven. Cesarski statek krążył w pobliżu i pewnego dnia zarzucił kotwicę pod Hattari-Holm. Mówiono, że młody wielki książę znajdował się na nim i zamierzał wysiąść na ląd ze swoją świtą, a na tę wieść powstał wielki ruch w całym mieście. Powywieszano chorągwie, przyozdobiono wieńcami domy, a wieczorem miał się odbyć bal w sali ratuszowej.

Na tym balu spotkał Sarę niesłychany i niezatarty w pamięci zaszczyt: młody wielki książę poprosił ją do tańca i tańczył z nią! Przetańczył tylko raz i tylko z nią... Któż zdoła opisać rozkosz, jaką ją nappełniła tego wieczora! Jeszcze teraz, gdy spoglądała na tę fotografię, padał na nią odblask tego szczęścia, jakiego wtedy doznała. Z początku była jak odurzona; lecz gdy wkrótce potem wielki książę odjechał, a wszyscy pośpieszyli jej winszować, serce jej wezbrało radością i dumą. Mężczyźni otoczyli ją kołem, ogłosili „królową balu” i dobijali się o jej łaski; od tej też chwili rozpoczęło się nieograniczone jej panowanie nad nimi.

Wśród jej pamiątek znajdowała się także duża paczka listów od ówczesnych jej wielbicieli; zawierały one oświadczenia miłosne, już to w skromnych i nieśmiałych, już w ognistych i namiętnych słowach wypowiedziane. Ale ona wtedy mało sobie ceniła te listy dziś pożółkłe i chowała je jako zwycięskie trofea jedynie. Żaden z nich nie zdołał poruszyć jej serca, a dla tych, którzy je pisali, miała najwyżej współczucie.

— Cóż myślisz? — mówiła nieraz jej matka. — Wybierz kogo nareszcie.

Lecz Sara nie zapomniwała wielkiego księcia i myślała:

— Już ja kiedyś zrobię wybór!... — Wyobrażała sobie, że uczyniła na księciu głębokie wrażenie. W przeciwnym razie, dlaczegożby z nią tańczył? Byłoby to niepodobieństwem, aby jednego pięknego dnia przybył starać się o nią? Przecie widziano już podobne rzeczy. Z jakąż dumą mówiłaby mu ona wtedy o swej wiernej miłości i dała do czytania listy swych wielbicieli, aby mu dowieść, na jakie pokusy była narażoną.

Lata mijały, wielki księżę nie przybywał. Sara tymczasem czytała egzaltowane romanse i czekała z tem przekonaniem, że przybyłby on z pewnością, gdyby tylko mógł iść za głosem swych skłonności. Lecz naturalnie znajdował przeszkody i musiał czekać. Była też zupełnie spokojna, lubo jej matka zaczynała się niecierpliwić. Nie wiedziała ona o ambitnych nadziejach, które żywiła jej córka.

Raz jednakże matka powiedziała coś takiego, co ją przeszło jak sztyłem. Było to wtedy, gdy ku wielkiemu oburzeniu matki, odmówiła pewnemu handlarzowi drzewem, bardzo zamożnemu i poważanemu człowiekowi.

— Zobaczysz — rzekła matka — że jeszcze zostaniesz starą panną!

Słyszac to, Sara roześmiała się na razie zakłopotana, ale potem dotknęły ją te słowa, zauważyła, bowiem, że w ostatnich czasach panowie nie zajmowali się nią wyłącznie. Nieznacznie ukazało się w towarzystwie parę dziewczątek bardzo ładnych, jak mówiono, lecz w których ona nie widziała nic osobliwego. Były to sobie „nic nieznaczające podlotki”, nieśmiałe i nieobyte w świecie. I znajdowano je ładnem! Ludzie miewają osobliwszy gust. Wydało jej się to niepodobieństwem, gdy się bliżej nad tem zastanowiła. Panowie na żart okazywali, że się zajmują temi gaskami, a one im wierzyły w prostocie ducha. Nie, nie miała się czego obawiać z tej strony. Postanowiła jednak sprawdzić to ściśle na przyszłym balu i sprawiła sobie w tym celu białą suknię z jedwabnego tiulu, bez rękawów i mocno wyciętą, aby jej pyszna figura okazała się w całym blasku.

Zadowolona i pewna zwycięstwa, szła przez rzęsiście oświetloną salę. Czy te dzieciaki wiedzą, z kim mają do czynienia?

Gdzie tam! wcale się tego nie domyślają. Oto zebrały się w najdalszym rogu salonu, szepcząc między sobą, rzucając z pod oka ciekawe spojrzenia i wybuchając tłumionym śmiechem, zasłaniając usta, jak zwykli czynić takie gaski, nieobyte w towarzystwie. Czy mogłaby która z nich być „królową balu”? Nigdy! dopóki ona tu jest, nic podobnego nie nastąpi.

Ich śmiech jednakże podrażnił ją: zapragnęła dać im po nosie i sposobność do tego nastęczyła się jej zaraz na początku wieczoru, gdy po pierwszym walcu weszła do buduaru, aby poprawić grzywkę, która się trochę rozfryzowała. Panienki właśnie tam się zebrały, szczebiocząc między sobą. Ona więc podeszła prosto do zwierciadła i rzekła:

— Usuniecie-no się, moje dzieci.

Nic zaś nie mogło ich bardziej rozgniewać, jak gdy je kto nazwał „dziećmi”, Sara wiedziała o tem, ale nie mogły na razie nic odpowiedzieć i musiały ją przepuścić, tylko widziała w lustrze, jakie nadąsane stroiły minki i jakie oburzone rzucały jej spojrzenia. To było jej zupełnie obojętne, lecz zobaczyła przytem coś takiego, co ją szczerze zabolalo; zobaczyła główkę w złocistych kędziorach, pogodnie oczy niebieskie i świeżą młodocianą twarzyczkę... to musiała być ta, którą najwięcej chwalono. Sara odwróciła się, żeby się jej lepiej przypatrzeć. Wistocie, panienka była wcale przystojna. Sara mogła w niej znaleźć niebezpieczną współzawodniczkę, gdyż ta dziewczeczka posiadała urok pierwszej młodości, którego Sarze żadna moc ludzka powrócić już nie była zdolną. Chwyciło ją dziwne przerażenie, nie mogła znieść dłużej widoku tej twarzy. Pocóż one tam jeszcze stały przy drzwiach? Dlaczego nie dawały jej spokoju? Może czekały, żeby im dała jakieś pamiętne napomnienie, które im się należało?

— Ten pokój jest wyłącznie dla dorosłych osób — rzekła, odwracając się od nich.

Panienki zrozumiały i otworzyły drzwi, mamrocząc coś z oburzeniem, z czego Sara dosłyszała:

— A to się rozrzuca. ta stara panna!

— Co?! — zawołała, nie posiadając się z oburzenia. — Ach, ty smarkaczu zuchwały! — I popchnęła złotowłosą z całej siły, lecz w tejże chwili rozległ się okrzyk podziwu i oburzenia z drugiego pokoju, gdzie kilka pań znajdowało się zebranych.

— Panienka rozptakała się. Sara wypchnęła ją z buduaru i zamknęła za nią drzwi.

Stara panna! one śmiały nazwać ją starą panną! Krew zakipiała w jej żyłach i uderzyła do głowy, dłonie zaciskały się kurczowo, bicie serca oddech jej tamowało, pulsa biły w skroniach naksztalt młotów. Była jak szalona, niezdolna przyjść z sobą do ładu. W uszach brzmiały jej wciąż nieszczęsne słowa:

— Stara panna!

Machinalnie zbliżyła się do lustra. Okropność! Jakże ona wyglądała! Twarz pokryła się szarą bladeścią, rozszerzone źrenice rzucały dzikie spojrzenia, czerwona pręga wystąpiła na szyi. Widok ten sprawił, że się opamiętała. Nie mogła powrócić w takim stanie do sali balowej. Spróbowała się uspokoić, napiła się wody i zaczęła się przechadzać po buduarze. Dźwięki orkiestry dolatywały ją z sali.

Stara panna! Nie, tak drugi raz nikt jej nazwać nie powinien. W jednej chwili powzięła stałe postanowienie. Spojrzała w lustro: twarz jej wyglądała już prawie jak zwykle. Wypiła więc jeszcze szklankę wody, wzięła wachlarz i śpiesznie powróciła do sali.

Zatrzymała się chwilę przy drzwiach i rzuciła

spojrzeniem dokoła. Handlarz drzewa stał najbliżej. Sara dała mu znak, aby się przysunął i rzekła.

— Przetańczyłabym chętnie z panem kontredansa.

Uśmiechnęła się przytem, wiedząc, że te łaskawe słowa musiały uczynić na nim wrażenie.

Tymczasem on skłonił się uprzejmie, lecz chłodno i rzekł:

— Niestety, muszę odmówić sobie tej przyjemności, bo już zamówiłem inną damę!

I odsunawszy się od niej, powrócił na swoje miejsce.

Pary zaczęły się ustawiać. Niektórzy panowie zdawali się nie mieć jeszcze tancerek, ale żaden nie zbliżył się do niej. Co to miało znaczyć? Ze złem przeczuciem obejrzała się dokoła i rzeczywiście spostrzegła, że coś zająć musiało, gdyż kobiety zwracały na nią oczy, szepecząc między sobą porozumiewająco. Zapewne rozmawiały o tem, co się stało w buduarze. Ale czy panowie także o tem słyszeli? Schwyciło ją coś za gardło i myślała, że się udusi.

Dano znak muzyce i zaczął się kontredans. Sara jeszcze nie ruszyła się z miejsca, pełna jakiegoś strasznego uczucia. Czy to było możliwe? Czy istotnie nikt jej nie zamówi tym razem? Nigdy jeszcze nie spotkało jej nic podobnego! Zrobiło jej się ciemno przed oczyma i zaledwie była zdolna utrzymać się na nogach. Obrażona duma, gniew, ból, wstyd, nareszcie obawa, że jej urok prysnął stanowczo, zalewały kolejno jej serce. Ciężar jakiś okrutny spadł jej na piersi.

Gdy zaczęły przesuwac się koło niej wymijające się pary, uczuła się nagle tak bezsilną, że obawiała

się upaść. Obok grona siedzących pań znajdowało się wolne krzesło, chciała dojsć do niego, ale w tej chwili spostrzegła ich złośliwe uśmiechy. Zadrżała i zwróciła się do drzwi: musiała ztąd uciekać, nie była zdolną wytrzymać dłużej w tej sali!

Ubrała się i przebyła całą długą drogę do domu, prawie nie wiedząc, co czyni. Dopiero zamknąwszy się w swoim pokoju, opamiętała się o tyle, że mogła zebrać myśli. Cóż ona takiego uczyniła? Dała zasłużoną odprawę zuchwałej dziewczynie, nie wiecej! Przecież te dziewczęta pierwsze były dla niej niegrzeczne, ale z tem naturalnie nie liczone się wcale! Dlaczego tylko one znalazły wiarę? Dlaczego nikt nie przyszedł jej zapytać, jak się rzecz miała? Ach, ludzie są tak źli, tak nikczemni...

Wypłakała się i uczuła się trochę spokojniejszą. W jej wyobraźni stanęły kobiety: jakże się one cieszyły z jej upokorzenia! Zazdrościły jej, dlatego teraz takie były szczęśliwe. Ale gdzie się podzieli jej wielbiciele, jej rycerze, gotowi wszystko uczynić na jej skinienie? I oni także ją zawiedli... Ale ona im tego nie daruje. Nie pójdzie odtąd na żadne zebranie, nie spojrzy na nich, gdy ich spotka na ulicy. Popamiętają oni ten bał!

Odtąd przez długi czas pozostała w domu. Było jeszcze kilka zabaw tanecznych, Sara czekała wciąż, czy nie usłyszy, że zauważono jej nieobecność, że dał się uczuć brak jej osoby, ale nikt się z tem nie odezwał. Nikt jej nie odwiedzał, a gdy spotykała dawnych znajomych na ulicy, zbywali ją krótko i chłodno. Starła się też w następstwie unikać tych spotkań.

Czuła się nieszczęśliwą i osamotnioną.

Cierpiała i nie umiała znaleźć w niczem pocie-

chy. Matka cały dzień miała zajęty gospodarstwem. Sara nie była zdolną jej pomagać; praca ta wydawała jej się suchą, pospolitą, prozaiczną! Wolłała siedzieć w swoim pokoiku, marzyć, zabawiać się wspomnieniami, albo czytać romanse, które pozwalały zapomnieć o przeciwnościach rzeczywistego życia. Czerpała też z tego czytania nowe nadzieje i nową wiarę w swą przyszłość! Choć wielki książę się nie zjawił, to jednak pewnego dnia mógł przybyć jaki znakomity i bogaty cudzoziemiec i zakochać się w niej od pierwszego spojrzenia. Pobraliby się wkrótce i bogaty małżonek zabrałby ją do dalekiego kraju, a miejscowa młodzież dopiero by żałowała!

Za letniem mieszkaniem Sary znajdowało się niewielkie zielone wzgórze, nad samem morzem położone, gdzie ona teraz się udawała w każdy pogodny dzień, ubrana białą, z długimi lokami, w ładnym letnim kapelusiku na głowie. Kładła się na wzgórzu, z głową wspartą na dłoni, suknia jej spływała w malowniczych fałdach, a połyskujące pierścienie włosów spadały na jej ramiona. Miała zawsze przed sobą otwartą książkę, ale nie czytała, tylko wzrok jej błędził rozmarzony po morzu. W ten sposób oczekiwała owego nieznajomego, swego przyszłego małżonka, będącego przedmiotem wszystkich jej marzeń. Gdy on tylko znajdzie się na pokładzie którego z licznych, przepływających statków, to niezawodnie zobaczy ją na tem wzgórzu. A wtedy zachwycić się i pośpieszyć do niej będzie dziełem jednej chwili.

Statki codziennie tędy przepływały. Lornetki i lunety kierowały się na nią, lecz ona nie zmieniała pozycji, ani się oglądała za niemi, gdyż jej wzrok miał błędzić rozmarzony w oddali. Zawsze jednak widziała, kto, zwłaszcza z panów, znajdował się na pokładzie, szukając wciąż między nimi tego, którego

całe życie oczekiwała z utęsknieniem, owego ideału, który całe życie kochała i uwielbiała.

Ale dni mijały, tęsknota jej się wzmagała, a ona czuwała wiernie nad wodą. Upływały tygodnie, przeszło lato, jesień się zbliżała. Sara nie układała się już w malowniczej pozie, ale siadywała ze złożonymi rękami; oczy jej nie błędziły już po morzu, tylko wypatrywały dymu, oznajmającego zbliżający się parowiec. A gdy się ukazał, śledziła go z nadzieją i obawą, dopóki nie nadpłynął. Z obawą również patrzyła na każdego obcego mężczyznę na pokładzie. Miałże ten oczekiwany nie przybyć nigdy?

Nikt nie przybywał. Ludzie popowracali z letnich mieszkań, przyszła zima i rozpoczął się szereg zabaw, owa pora, której przedtem zawsze Sara oczekiwała niecierpliwie i która jej coraz nowe przynosiła zwycięstwa. Jakże się teraz wszystko zmieniło! Teraz nie należała już ona do miejscowego „towarzystwa.” Pełna goryczy, patrzyła zdaleka na panujący w niem ruch i życie; nikt tam nie czuł jej braku, nikt jej nie pragnął. A ona nie chciała pogodzić się z tym losem, o! nie — w żadnym razie! O ile mogła, uciekała od ludzi, którzy byli tak źli i nikczemni, i wiodła życie zamknięte zupełnie. Starość smutna, osamotniona, leżała przed nią i nie było na to ratunku. Ten fakt narzucał się jej coraz uporczywiej z każdym dniem. W chłodnym, niedbałym ukłonie mężczyzny, w lekceważących spojrzeniach kobiet, czytała wyrazy: stara panna! I za każdym razem doznawała takiego wrażenia, jakby ją zmija ukąsiła.

Następnych lat kilka zapełnił jej cały szereg wciąż zawodzących nadziei. Jej życie stało się bezbarwną, szarą pustynią. Nic nie przerywało jego jednostajności, żadne weselsze wrażenia nie ożywiły nigdy jej duszy. Z początku wyobrażała sobie, że była ofiarą intryg, lecz później przestała tak myśleć;

opuściła ją wszelka nadzieja. W dodatku spotkał ją cios, który jej życie jeszcze smutniejszym uczynił: straciła matkę, jedyną przyjaciółkę i podporę swoją. Nie miała komu zwierzyć się ze swą boleścią, nikt się o nią nie zatroszczył, nikt o nią nie zapytał. Zalewała się łzami, nie chciała nic wziąć do ust, przeklinała świat, który ją prześladował i bluźniła Bogu, który nad nią jedną nie miał litości. A matka leżała zimna i sztywna, ze zgasłymi oczyma, z trupią bledością w twarzy — i nie słyszała jej skarg.

Wyczerpały się nareszcie jej siły; wpadła w zupełne odrętwienie i nie była więcej zdolną czuć nawet bóleści. Pustka teraz zaległa w jej sercu, w jej mózgu i ogarnęła całe jej istnienie. Nic jej to nie obeszło, że wierzyciele, zebrawszy się w jej mieszkaniu, sprzedali jej suknie i meble dla zaspokojenia swych należności. Nic z tego, co ją spotykało, nie było zdolne ściągnąć jej uwagi, albo wywołać oburzenia. Siedziała, jak martwa, ze wzrokiem przed siebie utkwionym. Jej pokój opustoszał, ale i to było jej obojętne. Później powiedziano jej, że miała się wyprowadzić. Z początku nie zrozumiała, czego od niej żądano, lecz gdy powtórzono jej to kilka razy, wybuchnęła głośnym śmiechem, potem ucichła na chwilę i znów śmiać się zaczęła.

Odtąd nazywano ją starą waryatką i dzieci bać się jej zaczęły.

Z początku wynajęto dla niej pokój w jednej z bocznych ulic. Przeniosła się do niego, zabrawszy łóżko, stolik i stare biurczko, a w niem trochę zmiętych kwiatów sztucznych, kokardek, papierków z dewizami od karmelków, swoją fotografię z młodych lat i paczkę listów, które później zebrała i związała czerwoną wstążeczką.

Zabrała to wszystko z sobą, kiedy później była zmuszon wyprowadzić się z miasta. W widoku tych pamiątek przeżywała niekiedy krótkie dnie swych minionych radości, i wtedy na chwilę zapominała, że była starą panną, i że ją nazywano „waryatką.”



„OJCIEC W AMERYCE,”

przez

ALKIO.

Jak wielu innym włościanom i osadnikom z Vareslahti, Mikkowi również przyszło do głowy pojechać do Ameryki. Myśl ta uczepiła go się uparcie, wreszcie w początku zimy opanowała go zupełnie. Nie było to marzenie, z którym się człowiek nosi, ale jakby żądza, nie dająca chwili spokoju. Zdawało mu się, że złote góry znajdzie w Ameryce, że posiada tam na koniec szczęście, którego ludzkość napróżno szuka od wieków.

Z początku tał się z tym projektem, lecz raz, gdy żona jego, wiecznie stroskana, skarżyła się, że: „nędzy chyba nie będzie”, Mikko nie mógł się powstrzymać i odparł:

— Otóż właśnie, że będzie, jak na wiosnę do Ameryki pojedę!

— Pojedziesz? — zawołała żona, a oczy jej dziwnie zabłyśły; był to radość, czy zdumienie?

Od owego dnia nie skarżyła się już więcej. Była tylko dla męża z większym szacunkiem i daleko baczniejsza na każde jego skinienie, niż dawniej.

Na wiosnę podróż przyszła rzeczywiście do skutku. Mikko zastawił swą posiadłość, ażeby mieć pieniądze potrzebne na drogę.

W miarę tego, jak zbliżał się dzień wyjazdu, kobieta stawała się coraz bardziej zamyśloną; ale na troskliwe zapytanie męża „co ci jest”, dawała zawsze wymijającą odpowiedź.

Nakoniec nadszedł dzień rozstania. Włóścianka od rana samego zalewała się łzami, co wcale nie było zdrowe dla jej chorych oczu.

— Nie płacz — rzekł Mikko po krótkim namyśle — jak Bóg da, że mi się poszczęści, to wrócę do ciebie!

— Tak, ale...

— Ale co?

Mąż uczuł niedowierzanie w jej głosie; lecz dopiero w chwili rozstania kobieta rzewnie płacząc, rzuciła mu się na szyję.

— Nie zapomnijcie mnie, ojcze — załkała — pamiętajcie o dzieciach.

— Miałbym zapomnieć? Co wam, matko, w głowie? Wara tak o mnie myśleć!

— Nie będę, już nie będę, ojcze. Ale świat jest zły... a ja tu sama zostaję z trojgiem drobiazgu.

Dobytek jest w zastawie... na podróż... nie gniewajcie się, ale mnie tak żałość rozbiera!

Mikko chciał jej ostro odpowiedzieć, zmiękł jednak nagle, żona z całych sił przytuliła się do niego i nie chciała go puścić. Potem brał dzieci na ręce, całował je po kolei i znów uściskał żonę...

Na miły Bóg... Mikko nigdy nie przypuszczał, żeby tak ciężko było żegnać swoich. Gdyby tylko było zkad wziąć roboty, nie porzucałby ich napewno!

Ale tak! musiał jechać.

Kobieta przepłakała całe dwa dni. Strach ją zdejmował okrutny, gdy myślała, co się przytrafić może. Lęk ją brał o męża i o dzieci. Ale żyła osuszała myśl o dolarach. Nawet dzieci marzyły o nich i rozповідаły po wsi: „Ojciec przysłał nam amerykańskich dukatów, będziemy sobie mogli nakupić dobrych rzeczy”.

* * *

Z początku Mikko często pisywał. Niekiedy przysłał też i trochę pieniędzy, obiecując za każdym razem przysłać później znacznie większe kwoty; tymczasem były to bardzo drobne sumki.

Lata upływały. Listy przychodziły coraz rzadziej, pieniądze prawie się nie trafiały. Mikko pisał, że czasy są coraz cięższe, że się rozchorował i musiał się wziąć do cięższej pracy. Nie przestawał jednak obiecywać, że byle jeszcze trochę poczekać, to lepiej będzie.

Matka stawiała się coraz bardziej stroskaną, a chleba było coraz skąpiej.

* * *

Pięć lat upłynęło, odkąd Mikko wywędrował do Ameryki, trzy lata, odkąd nie dawał o sobie żadnej wiadomości.

Przyszła wiosna.

Jaskółki wróciły z ciepłych krajów, para ich ulepiła gniazdko pod okapem niskiej chaty w Vareslahti. Codzień swiergotały one dzieciom o pięknych urodzajnych krainach południa, gdzie dojrzewają winogrona, a rozłożyste gałęzie drzew figowych obciążone są słodkim owocem. Dzieci nie rozumiały, co im opowiadały ptaszki, ale pojmowały dobrze, że to jest coś radosnego, z czego się należy cieszyć, więc cieszyły się i skakały, klaszcząc wychudłymi rączkami.

— A może jaskółki widziały tatusia? — spytała raz średnia dziewczynka.

— Gdyby to można jednak napewno wiedzieć? — pomyślało najstarsze z dzieci, a te słowa nasunęły najmłodszemu myśl o ojcu, którego już nie mógł pamiętać:

— Czy ojciec był bardzo mocny?

— Naturalnie—zapewniło najstarsze z dzieci.

— Żeby ojciec wrócił...—zaczęło znów średnie. Ale od ojca wciąż nie było żadnej wiadomości.

Tymczasem zazieleniło się dokoła chatki, kwiatki rozkwitły w lesie. Matka skopała kamienisty kawałek roli, zasadziła kartofle z pomocą dzieci, a wio-

senne promienie słońca opaliły ich wyblądłe twarzyczki.

Matce zrobiło się lżej na sercu. Słońce było tak jarzące, że zdawało się nawet przyszłość rozjaśniać i rzucać w nią promień nadziei.

Rozwiesiła na płocie kożuszek męża, futrzaną czapkę i resztę odzieży: „jak wróci do domu, będzie widział, żeśmy o nim nie zapomnieli i że mu móle rzeczy nie'pojadły”.

Właśnie w tej chwili nadszedł chłop, od którego Mikko pożyczył pieniędzy na drogę.

— Cóż, matko, nie nie słysząc o waszym?

Niepokój ogarnął kobietę. Zaprzeczyc byloby nierozważnie, potwierdzić, mogłoby być niebezpiecznie.

— Jakoś, temi czasy, on nie...

— To łotr! Jeżeli prędko pieniędzy nie przysła, to sprzedam waszą chatę i ten kawałek gruntu. Tak nie może być.

Kobiecie dech zamarł w piersiach ze strachu, sama nie wiedziała, co rzec. Ulżyło jej dopiero, gdy sąsiad dał się uprosić i przyrzekł, że zauzeka do wiosny.

Przyszła jesień.

Matka coraz częściej płakała. Naprężenie i ucisk moralny w jakim się znajdowała, odbijała się w niecierpliwych gniewnych słowach, z którymi zwracała się do dzieci. Te wylęknione chętnie wciskały się w najojasniejszy kąt izby za kominem.

— Jeżeli ojciec nigdy do domu nie wróci... — zaczęło jedno.

— Do domu, przecie! — podchwytywało drugie.

— Jeżeli on inną żonę ma!...

Dzieci nie rozumiały dobrze, co to znaczy, gdy po wsi mówiono, że ojciec ma tam już pewnie inną żonę. Ale gdy widziały, że matce oczy nie osychają z łez, czuły instynktownie, że ojciec jest bardzo a bardzo zły, że matce jest bardzo ciężko i że oni są bardzo głodni...

A o ojcu nie było żadnej wieści!

Stary z nad jeziora.

PRZEZ

Juhani'ego Aho.

Był to stary oryginał, różniący się we wszystkim od innych poddanych barona. Nizkiego wzrostu, krępy, przysadzisty, o krzywych nogach, a przytem powolny, milczący i mrukliwy, nie był on wcale sympatyczny. Nie utrzymywał też z ludźmi żadnych stosunków i nikt go nie darzył zaufaniem.

Stary baron cenił go jednak wielce i był na niego łaskaw. Pozwolił mu zamieszkać na cyplu nad tem samem jeziorem, na którego przeciwległym brzegu wznosił się dwór okazały. Ztąd też Krystyn zwany był powszechnie: „Starym z nad jeziora”.

Stary zbudował sobie chatę zupełnie niepodobną do wszystkich innych w okolicy.

Baron, namiętny zbieracz wszelkich osobliwości, często przyjeżdżał łódką ze swymi gośćmi na cypel, żeby im i tę „osobliwość” pokazać.

I goście z czterech stron świata rzeczywiście oglądali tam rzeczy, których nigdy na oczy nie widzieli. Stary mieszkał w kurnej chacie, której izba za wędzarnię i łaźnię zarazem służyć mogła, a tak była czysta i wygodna, że jej się odchwalić nie mogli. Dobrze im było siedzieć tam, przysłuchując się jasnym, spokojnym opowiadaniem Krystyna, a przy odjeździe wyrażali żal, że nie mogą na zawsze zamieszkać w takiej cichej, odludnej sadybie. Podobali im się również torby, kobiałki i trepy, wyrabiane przez starego z kory brzoźowej. Wszystkie te rzeczy pokazywał im baron z taką dumą, jakby one były jego własnem dziełem, i dodawał, że Krystyn był jedynym z licznych jego poddanych, który zawsze sam sobie radził i nigdy o nic nie prosił. Potem dalej myśl swą rozwijał, że ten tylko nauczy się na sobie polegać, kto nigdy nie był kępowany w robieniu tego, co uważał za lepsze. Wolność tę baron zawsze w ludziach szanował. I z innymi swymi poddanymi próbował on tego samego systemu, ale napróżno. Byli przyzwyczajeni o każdą drobnostkę radzić się starego pana ze dworu i dlatego więcej miał z tego oryginała pociechy, niż ze stu innych poddanych.

Opuszczając chatę Krystyna, baron zwracał uwagę gości na jeszcze jedno jego „dziwactwo”: na jego herb, niedźwiedzia, wyciętego z drzewa i przybitego nade drzwiami, podczas gdy drugi niedźwiedź na blaszanej chorągiewce nad dachem znajdował się wyryty.

— On sobie wyobraża, że jest lepszym od innych, i chce tak, jak ja, mieć herb nade drzwiami. Nie chciałem mu odmawiać tej przyjemności, bo zresztą ma poniekąd prawo do tego niedźwiedzia. Na tem miejscu, gdzie teraz jego chata stoi, miał stary niedźwiedź odwieczne legowisko pod sosną. No i on oto zabił niedźwiedzia i wystawił sobie pod sosną

szalas z chrustu, zanim zdołał wybudować chatę. Od tego czasu moje krowy na pastwisku mają spokój, a ja w nagrodę pozwoliłem mu zamieszkać na tym cyplu, który niegdyś stanowił część zwierzyńca. Nikomu w moich dobrach nie wolno polować, ani rybować, tylko Krystyn zaopatruje dwór w dziczyznę i ryby, a zato pozwoliłem, żeby sobie kawałek roli wykarczował. Nie podobało się to wielu, próbowali kłusownictwa, ale stary zawsze ich podpatrzył i przyszedł na skargę do mnie. Stawałem zawsze po jego stronie, bo chcę, żeby przywileje, jakie mu dałem, były szanowane.

Baron dodawał jeszcze:

— Mam nadzieję, że i mój syn uszanuje moją wolę i jeżeli ten oto mnie przeżyje, pozwoli mu tu spokojnie mieszkać do śmierci.

* * *

Stary rzeczywiście przeżył barona, po śmierci którego syn odziedziczył wszystkie jego posiadłości. Krystyn żałował dawnego pana i rozpamiętywał wszystkie dobrodziejstwa, jakie od niego otrzymał.

Młodego barona dzieckiem tylko pamiętał, gdyż ten, dorósłszy, przebywał głównie zagranicą; mówiono wszakże, że był to dobry człowiek. Czółno dworskie nieraz mknęło po jeziorze, nigdy wszakże nie przybiło do cypla.

To też ucieszył się stary, gdy raz latem, w kilka lat po śmierci dawnego barona, ujrzał na jeziorze dobrze znane czółno, kierujące się wprost na cypel. Uradowany, że наконец młody pan chce pozdrowić

starego służy swego ojca, zbiegł na sam brzeg i czekał na upragnionych gości, by za przód czółna uchwycić i zręcznie między kamieniami na ląd je wciągnąć.

Ale łódka, pełna rozbawionych młodych ludzi, przemknęła tylko koło łądu. Jeden z panów siedział w środku wyżej od innych, jeden ubrany po wojskowemu sterował, wiosłował zaś wójt, trzy psy myśliwskie siedziały, wietrząc, na samym dziobie czółna, które wpłynęło w zatokę, oddzielającą cypel od łądu. Psy wyskoczyły najpierwsze, za niemi wójt i panowie. Wszyscy mieli strzelby; przyjechali widocznie, aby zapolować.

Kiedy tak stary stał i rozmyślał, czy należy panów iść powitać, czy też na nich przed chatą czekać, psy rzuciły się naprzód i wróciły po chwili, pędząc przed sobą zająca. Zając szukał schronienia w chatce, ale psy dopadły go i rozerwały na sztuki. Krystyn poznał swego oswojonego zająca, którego w zimie żywił i który od lat wielu koło chaty się trzymał. W tejże chwili panowie wybiegli z lasku. Żaden z nich nie przypominał dawnego pana. I nigdyby młody baron nie był w ten sposób przyjechał, stary był o tem przekonany. To musieli być obcy panowie. Dlatego nie mógł nad sobą zapanować i zapytał ostro.

— Kto panom pozwolił szczuć psami mego oswojonego zająca?

— Kto nam pozwolił? — spytał jeden z panów, lekko zdziwiony — czy to nie moje prawo raczej? Ale ty zkądeś się tu wziął i kto ci tu mieszkąć pozwolił?

— Jeszcze stary pan baron mnie tu osadził — odparł Krystyn.

— Czy wiesz, z kim mówisz? Jestem nowym plenipotentem młodego pana barona.

— Zkąd można wiedzieć, kiedy się go nigdy jeszcze nie widziało?

— No, to mnie teraz widzisz.

— To stary głupiec. Nieboszczyk pan tak go zbałamucił, że ten cham całkiem respekt stracił — objaśnił wójt.

— On był jedną z jego „osobliwości.”

— No to trzeba i jego „zrealizować,” jakeśmy to ze zbiorami barona uczynili.

Dowcip ogólnie się podobał, lecz że psy znów zagrały, więc pośpieszono za niemi.

Stary pozostał przed chatą. Słyszał strzały i nawoływania, widział, jak psy zdobycz sobie wyrwały, i myślał o dawnym baronie, który przed chatą z gośćmi siadywał i chwalił wszystko. Potem zastanawiał się, czy będzie trzeba zwierzynek do dworu dostawiać, kiedy takie czasy nastały, że sami panowie do polowania się biorą. Widocznie czasy się bardzo zmieniły.

Nakoniec wszystko ucichło i myśliwi wrócili przed chatę. Nie zważając na Krystyna, jakby go wcale nie było, ani prosząc go o pozwolenie, wystawili stół i ławy na dwór, zasiedli do posiłku, który z sobą przywieźli, i zabrali się do konsumowania zapasów.

— Pojadą sobie, jak się najedzą — myślał stary, siedząc opodal na kamieniu.

— Osiem zajęcy w dwie godziny — rzekł jeden z panów — świetne polowanie. Musimy tu jeszcze wrócić, ale pawilon myśliwski jest już za stary.

— Zburzy się go i inny na jego miejsce posta-

wi—odparł plenipotent, trochę dotknięty—nie miałem jeszcze czasu o tem pomyśleć.

Stary nie mógł dłużej wytrzymać.

— Zburzone? co ma być zburzone, jeśli wolno spytać?

— A twoja chata—odrzekł pan w mundurze.

— Niedoczekanie wasze!

— Może zakażesz?

— Nie ja, ale stary baron! Ja sam tę chatę wybudowałem i mam przyrzeczenie dawnego pana, że mi w niej wolno będzie mieszkać do śmierci.

— Wolno mi tu robić, co chcę. Ale żebyś nie miał krzywdy, to w nowym pawilonie jako strzelec do końca życia będziesz mieszkał. Będziesz miał więcej, niż zasłużyłeś. Jeśli ci tego nie dosyć, możesz całkiem wylecieć.

— Ja się z mojej chaty nie usunę!

— Czy mamy zaraz się z nim załatwić? — spytał wojskowy.

— Pontus, do nogi!

Pies podniósł łeb i zawarczał.

— Dajcie mu pokój, panowie!—rzekł wójt.—Ten stary ma bzika.

— Szkoda, że pan plenipotent nie [pozwala... zrobiłoby się to w mgnieniu oka.

Wojskowy zapalił cygaro, wyciągnął nogi i włożył ręce w kieszenie, nagle wzrok jego padł na niedźwiedzia, wyciętego na chorągiewce.

— Co to jest?—spytał.—A tu znów coś takiego nad drzwiami widzę?

— To jego herb—objaśnił wójt.—On wyobraża sobie, że jest szlachecciem.

— Czy i na to pozwolił mu stary baron?

— Stary baron lubił krotochwile...

— Mogę go strącić, czy też panu mam zostawić chwałę położenia trupem tego niedźwiedzia?—żartował wojskowy, podając plenipotentowi strzelbę.

— Zrzekam się chętnie tego zaszczytu — odparł tenże.

Wojskowy wymierzył i celnym strzałem strącił niedźwiedzia z chorągiewki, po drugim strzale zniknął i ten, który był umieszczony nad drzwiami.

— Dwa niedźwiedzie i ośm zajęcy! Przytrocz niedźwiedzie do torby.

Żart ten przyjęto głośnym wybuchem śmiechu.

A ponieważ chata obudziła ich ciekawość, postanowiono dokładnie ją zwiedzić. Wyciągnięto pudełka z kory brzozy i inne osobliwości: tak dziwnych przedmiotów jeszcze nigdy nie widzieli.

Chata z kurnem ogniskiem, okopconemi ścianami i omszałym dachem była w ich pojęciu uosobieniem dziwactwa i brzydoty.

— Po co ją ganić, kiedy dla mnie jest dość dobra—zauważył stary.

— To wstyd doprawdy, żeby taka rudera stała w najbardziej malowniczym miejscu w całej okolicy!—zawołał jeden z panów.—Proszę pomyśleć, jakby cudownie tu się wydał pawilon myśliwski w nowoczesnym stylu, z gankiem i wieżyczką, akurat nawprost dworu!

— Ależ to już postanowione, że się tę budę rozrzuci—rzekł plenipotent, dotknięty przypuszczeniem, że byłby w stanie zostawić nadal tę chatę nietkniętą.—Przypilnujcie tego, wójcie, żeby zaraz wzięto się do zburzenia tej rudery!

Nie poszło to jednak tak gładko, jak przypuszczają plenipotent. Kurna chata kosztowała go wiele kłopotów. Wójt doniósł mu nazajutrz, że stary nie chce z chaty ustąpić bez wyroku sądowego.

— To trzeba natychmiast podać sprawę do sądu.

— Sąd zasiada dopiero w jesieni.

— Trzeba wniesić podanie o nagłość sprawy.

Podanie zostało wniesione. Stary dowiedział, że miał przyrzeczenie dawnego pana, iż do śmierci w chatę będzie mieszkał, i plenipotent przegrał. Sprawa poszła do wyższej instancji, ale ta potwierdziła wyrok pierwszej, a na koniec oparła się o senat i ten orzekł, iż: „zważywszy, że stary piśmiennego, prawnie zawartego kontraktu przedstawić nie był w stanie, chata na żądanie powoda, jako prawna wartość tegoż, może zostać zwaloną.”

Plenipotent posłał wójta z ludźmi, aby starego usunęli z chaty; ale stary oświadczył, że nie podziela opinii senatu, gdyż przyrzeczenie swoje odwołać mogłoby jedynie sam baron, lecz baron już nie żył.

Wójt posłał się spytać do dworu, czy ma użyć siły?

— Powyjmować drzwi i okna—była odpowiedź plenipotentu.

Nazajutrz wójt doniósł, że stary, okutany w kożuch, siedzi na piecu.

— Zerwać dach i ściany rozebrać!—rozkazał dalej rządcą, oburzony do najwyższego stopnia.

Rozkaz został wykonany; ale gdy nazajutrz ludzie przyszli z ciekawości zajrzeć, co się ze starym dzieje, tenże wylazł z pieca, chwając się, że mu tam w nocy było bardzo ciepło.

Piec z kolei został również zburzony i stary

musiał się na koniec usunąć. Zebrał swoje manatki i poszedł. Ale nie poszedł daleko.

— Chatę zburzyliście, ale tego cypla nie zburzycie—mruczał gniewnie.

I wójt ze zdumieniem patrzył na to, jak staruszek rzeczy swe umieścił pod sosną, stojącą opodal, i pod nią sobie z kory drzewnej legowisko urządził.

— Cóż to tu będziesz mieszkał? — zapytał wójt.

— Nie pierwszyna mi to — odparł stary — tu było legowisko niedźwiedzia, którego zabiłem przed laty, ażeby na stado nie napadł. Kiedyś z legowiska przeniosłem się do chaty — dziś, wypędzony z chaty, tu wrócić muszę! Proszę się kłaniać odemnie panu rządcy i powiedzieć, że znów pojawił się tu niedźwiedź, który się nie da ztąd wykurzyć!

Ale plenipotentowi doniesiono tylko, że chata zburzona — pozdrowienia nikt nie ośmielił mu się oddać.

Plenipotent lżej odetchnął, iż skończyła się ta niemiła sprawa, o której już wiele gadano w sąsiedztwie. Z wyjątkiem kilku właścicieli ziemskich, którzy takie same trudności mieli z poddanymi, wszyscy stali po stronie starego. Plenipotent obawiał się też, aby młody baron, przebywający stale za granicą, nie dowiedział się o tej drażliwej sprawie.

Nowy pawilon myśliwski nie został wzniesiony, fundusze bowiem pochłonęły różne melioracje w gospodarstwie, więc sprawa starego Krystyna poszła w zapomnienie.

A stary zaraz nazajutrz po zburzeniu chaty wziął się do stawiania jej nanowo. Poszło mu to o wiele łatwiej, niż przed laty. Fundamenty były nienaruszone, kamienie ociosane, wiele części, dopasowanych do siebie, czekało tylko złożenia, nawet zna-

czna część dachu została nieuszkodzona. Nowa chata podobniutką była do starej, tylko piec otrzymał komin i okna były nieco większe.

Nikt nie bronił Krystynowi stawiania chaty, ani wójt, ani parobey, gdyż wiedzieli, iż nakazane było starą zburzyć, ale nikt im przecie nie kazał budowaniu nowej przeszkadzać!

Gdy chata już stała, przeniósł do niej Krystyn z pod sosny tłumoczek z rzeczami, a nawet przytwierdził na dachu chorągiewkę z nowym, ładnie wyoiętym na niej niedźwiedziem.



G Ł Ó D

przez

JUHO REIJONEN'A.

W najuboższej, ale zarazem najpiękniejszej części północnej Karelii — pomiędzy południowo-wschodnim Kainu i granicą rosyjską — „czyste żyto”, czyli chleb bez domieszki rzadko bywał codziennie widywany nawet na stole najzamożniejszego mieszkańca; a już przed czterdziestu laty w Ruohatti uważano to za proste marnotrawstwo darów Bożych. To też nikt tem nie grzeszył, a już najmniej Kylois-Perttus ze swą rodziną.

W młodości Perttus był tak szalony, że wybrał sobie siedzibę na najuboższym piaszczystym wybrzeżu jeziora Sammal, na skraju najdzikszego pustkowi. Trudno mu też było wyżywić siebie i żonę z dziećmi, tem trudniej, że każdego roku rodzina powiększała się o jednego członka i stała się w końcu tak liczną, że żona jego Anna mawiała: „zniszczejemy od tego zbytku błogosławieństwa Boskiego”, corocznie w czasie najpilniejszej roboty przy sianokosie musiała „w zakrystyi odkłęczyć swoje przed proboszczem.” Niestety, błogosławieństwo to nie rozciągało się wca-

le do chleba, lubo proboszcz zapewniał, że sadyba ich stanie się bardzo zamożną, gdy z czasem tyle jej sił roboczych przybędzie, przyczem zwykł był dodawać:

— Ten, który zsyła dzieci, ma pieczę o nich.

Tymczasem Anna musiała się troszczyć, z kądem zaopatrzyć miała niezbędne potrzeby swej licznej gromadki. Troszczył się i Perttus ze swej strony: orał błotnistą rolę i starał się z olbrzymich okolicznych lasów, błot mchem pokrytych, zarosłych trzęsawisk lub wydym Ruohatti wyciągnąć wszystko, co tylko się dało...

Nakoniec raz postanowił ciemno-zieloną granicę prastarego lasu, co się opodal jego chaty ciągnęła, cokolwiek w głąb cofnąć, aby nowy szmat roli pozyskać na nowinie. Niestety jednak leśniczy zauważył te jego usiłowania.

— Cóż tu wyprawiasz?—spytał gniewnie—drzewa należą do rządu, do państwa, rozumiesz?

Perttus pomyślał, że i on również należy do państwa i odrzekł, iż snadniej, żeby o kilka drzew mniej rośło w lesie, niż żeby stworzenia Boskie z głodu umierać miały.

— Tego nie może państwo dozwolić—dorzucił jeszcze—albo by też było licha warte.

Leśniczy jednak nie tylko poinformował chłopca, czego państwo od niego wymaga, lecz nadto wyrobił mu bezpłatną podróż do miasta Kuopio i takż pobyt czasowy w tamtejszym więzieniu. A zanim Perttus odsiedział swą karę o chlebie i wodzie nastąpiło lato.

Słońce zalewało świat potokami światła, gdy Perttus opuścił Kuopio. Kiedy nad wieczorem zbliżał się do swej sadyby, kukułki odzywały się wesoło na urwiskach górskich i drozdy gwizdały na wybrzeżu jeziora. Jakże radośnie uderzyło jego serce, gdy ze wzgórze Kiviharju zamigotało mu w słońcu zdala modre zwierciadło jeziora Sammal i gdy ujrzał łan

młodego żyta, falującego pod ciepłym letniego wiatru podmuchem.

— Co to będzie za radość ku jesieni, jak się tu z Anną przyjdzie, kosą zamachnie... Dzieciaki, jak młode cielątka, będą hasały po ściernisku, a które starsze, to pomoże snopy wiązać. Potem ściernisko zaorzę...

Tutaj urwał się wątek jego myśli, gdyż wspomniął o ściernisku na własnej głowie. Był to widomy znak kary te krótko ostrzyżone, a nieodrośnięte jeszcze włosy... Pytanie, czy kiedykolwiek zechcą odrósnać.

— Jak ja się ludziom na oczy pokażę, a szczególnie żonie i dzieciom!

Perttus starał się tej myśli nie dopuszczać, pomimo to zwalniał kroku w miarę, jak zbliżał się do domu.

Żeby to Anny przynajmniej nie spotkać. Ale próżne obawy! Anna musi być na dworze, pewno sieci ściąga z Sikki, bo czółna nie widać, tylko dzieci strasznie hałasują na podwórku...

Perttus popatrzył uważnie.

— Pokaż-no mi się, ażebym wiedział, co zasz jestes—rozległ się cienki, piskliwy głos małego Antti i stłumiony płacz Tomka, któremu zawsze brat dokuczał, choć ten był o trzy lata starszy od niego.

Perttus mógł być podejść do nich, ale mu było za ciężko straszyć dzieci swą nagą głową. Prócz tego uczuł się tak bezsilnym, że musiał spocząć na chwilę. Usiadł więc pod brzozą i zapalił fajkę, a siedząc, rozmyślał sobie o różnych rzeczach, głównie zaś o tem, czyby nie było najlepiej pozbyć się tej całej mordęgi z rolą i przenieść się do miasta. Mówiono, że tam porządnym robotnikom dobrze się dzieje, nie trzebaby przynajmniej, jak tu, głodem przymierać. Warto było to rozważyć; tembardziej, że w mieście ludzie chodzą z obciętemi włosami, choć przecież napewno nie byli w więzieniu. Taka już tam moda

i nikt się temu nie dziwi. Ale z drugiej strony ciężko jest wyrzec się własnego kawałka ziemi, na którym się człowiek całe życie znoił, gdzie chłopcem będąc, z żórawiami w zawody na błotach żórawiny zbierał, do którego serce, zda się, przystało.

Na takich rozmyślaniach zeszedł mu cały wieczór i Perttus, jak złodziej, po nocy wsunął się ukradkiem do własnego domu. Nazajutrz Anna nie zdradziła się niczem, że spostrzegła jakąś zmianę w powierzchności męża. Musiała ją jednak zauważyć i dzieci ostrzedz, ażeby nie robiły uwag o czu-prynie ojca, bo nic nie mówiły, tylko zdawały się wstydzić za niego.

* * *

Na jesieni włosy tak już odrosły, że można było je ładnie rozdzielić środkiem głowy, a i żyto także już dojrzało.

Tak w Sammallampi, jak i w innych miejscowościach ze spokojem myślano o zimie. Ale nim ona nastąpiła, już zjawił się mróz, a z nim i tyfus głodowy. Anna parę tygodni przeleżała na ławie pod piecem, mającąc nieraz w malignie.

Dzieci leżały po kątach na brudnych łachmanach i przegniłej słomie, tylko uparty Antti umieścił się w łóżku matczynem.

Wybladłe i cierpiące te biedactwa z osłupiałem spojrzeniem znosiły cierpliwie swój los, tylko Antti nie mało przyczyniał kłopotu ojcu i Tomaszowi, którego zdrowia nędza nie zdołała zachwiać. Z anielską cierpliwością znosił on, gdy Antti bił go i ciągnął za włosy, nie chcąc się dać umyć, ani oczyścić łóżka, w którym przez ciąg długotrwałej choroby, zagnieżdżyło się liczne robactwo. Tomasz starał się również przynosić matce i bratu najlepsze kaski jedzenia, jakie udało mu się niekiedy wyżebrać w pobliskiej

wiosce. Nie był to obfity posiłek, a często mu i tego odmawiano. Łatwo zaś pojąć, jak skąpą była ta jałmużna, skoro ludowe przysłowie z tych okolic mówi: „Boże, strzeż biedne dzieci, aby nie były zmuszone żebrac w Kuohatti!”

Na początku zimy położenie Perttusa stało się rozpaczliwe, czasy były coraz cięższe. W połowie zimy wieśniak Kohizeva przyszedł z wieścią, iż nikt w Kuohatti nie może liczyć na żadną zapomogę, gdyż kasa wsparcia ubogich wyczerpała zupełnie swe środki, a zarząd miejscowej dobroczynności wyłożył jasno, iż rząd więcej pieniędzy nie wyasygnował i że mieszkańcy Kuohatti mogą równie dobrze pracować, jak inni. I dodał jeszcze, żeby się napróżno nie skarżyli, bo ziemię mają dobrą.

— Tak, tak, Perttusie—rzekł Kohizeva—w naszej wiosce nikt nie ma do oddania; ale jeśli nam ciężko, to twoja nędza jest nie do udźwignięcia.

— Karele umieją cierpieć—odrzekł Perttus, do-rzucając ostatnią garść zmielonej kory brzozowej do ciasta, z którego zdawało się, iż nie sposób było upiec chleba, tak w niem mało było mąki, iż się rozpadało w kawały.

Po chwili Perttus odezwał się znów:

— Żeby to człowiek śmiał naciąć sosnowej albo jodłowej kory w rządowym lesie; albo żeby trochę słomy było, to o obiedzie nie byłoby co mówić; moi, mając inny posiłek, takby się wzmocnili, że znów mogliby się wziąć do pracy.

Kohizeva obiecał, że poprosi żony, aby upiekła chleba z sieczką i tyle im go przyniesie, ile tylko udźwignąć zdoła.

— A może też dacie sobie radę z tem ciastem z kory, wszystko zależy od przyzwyczajenia — dodał, odchodząc.

Wdzięczny za przyobiecana pomoc, Perttus uściśnął mocno dłoń Kohizevy, a Tomasz z błyszczącymi radością oczyma szeptał do ucha matce:

— Będiesz zdrowa, mamó, jak się najesz dobrego chleba z sieczką od Kohizevy.

* * *

Przekonanie o uzdrawiającej mocy chleba z sieczką, który Perttus i Tomasz wciąż chorym zachwalali, musiało w rzeczy samej wywrzeć wpływ dobroczynny, gdyż ci, jeden po drugim zaczęli przychodzić do zdrowia, pomimo, że tyfus głodowy wciąż jeszcze srożył się w okolicy i co tydzień do dziesięciu umarłych grzebano na cmentarzu.

W dzień Ś-go Pawła wszyscy już byli na nogach. Ci z rodziny, którzy mieli tylko łachmany, nie zasługujące nawet na nazwę odzieży, pozostali w domu, ci zaś, którzy mogli jeszcze czemś się odziać, rozeszli się po sąsiednich wsiach, żebrząc i sprzedając drobne wyroby z drzewa, wykonane przez ojca. Anna i Perttus nabrali otuchy, że „do lata jeszcze wszystkim zdrowie i siły powrócą”. Ale tymczasem Anna znów legła i powiła bliźnięta.

Nowa troska dla rodziców! Perttus pożyczył konia od sąsiada i sam do chrztu powiózł swoje dzieci. Z powrotem zajechał do handlarza, gdzie dawno już nie był, i tam się dowiedział, że jego chata wystawiona została na licytację.

Sąsiad jego, Heikki, miał dawno zapadły na niego wyrok, lecz nie egzekwował go, dopiero sam popadłszy w nędzę, za kilka funtów maki sprzedał go handlarzowi, o którym mówiono, że był „strasznie” bogaty. Ten „nie mógł” czekać i zażądał natychmiastowego zwrotu pieniędzy — 150-u marek, oprócz procentów, w przeciwnym zaś razie groził sprzedażem chaty, „ponieważ dłużnik żadnych ruchomości nie posiadał, aby można było zrobić zajęcie”.

Perttus błagał o litość, gdyby mógł, byłby sam chętnie w pieniądź się zamienił, aby spokój rodzinie zapewnić, ale było to próżne życzenie. Wierzy-

cielowi również czekać było „nieporęcznie”. Nie pomogło i to, że Perttus, zamiast ruchomości, ofiarował mu dziewięciorgo swoich dzieci.

„Szczęściem” jedno z bliźniąt, młodsze, umarło, zanim chata została sprzedaną. Perttus więc tylko z ośmiorgiem dzieci musiał w świat ruszać. Gorzko mu było rzucać własne ognisko, które pracą rąk swoich utrzymywał, ale co miał robić? Co gorsza, oboje z żoną nie wiedzieli, gdzie się obrócić; postanowili więc na los szczęścia iść ku miastu. Kto wie, co by się z nimi było stało, gdyby pod wsią Markul-la nie byli spotkali dziwnej gromady ludzi.

Ludzie ci wędrowali za chlebem do rosyjskiej części Karelii. Przewodnikiem tej gromady był stary znajomy Perttusa, Mahais-Paavo. Opowiedział on Perttusowi, że stracił syna na późnej jesieni; znaleziono go w gumnie około Kantavaary z garścią siana w ustach. Stary powiedział urzędnikowi, że syn jego umarł z głodu. Ale czy to panowie uwierzą, czemuś podobnemu? Pokrajali go, jak psa albo samobójcę jakiego i dopiero uwierzyli, kiedy doktor tylko pęk trawy znalazł w jego żołądku.

Pomyślałem też sobie wtedy, że trzeba gdzieindziej chleba szukać, bo albo wszyscy pomrzemy, albo oszalejemy z głodu. Po drodze inni przyłączyli się do nas i przywędrowaliśmy aż tu. — Najlepiej zrobisz—mówił dalej Mahais Paavo—gdy pójdziesz z nami. Jedzenia mamy tyle, że wystarczy nam na drogę.

* * *

Perttus przyłączył się do innych i nazajutrz rano puścili się razem w drogę. Mroźny, ale cichy i pogodny był ranek, gdy gromada ludzi, jak czarna linia, wyciągnęła się drogą ku wschodzącemu słońcu. Wygłodniałe kosmate psy wypadały na nich z podwó-

rzy, a niejedyn kundel daleko po śnieżystym polu zapędzał się za nimi, szczerkając zajadłe.

Pokryte szronem lasy jaśniały milionami drogich kamieni, a zasypane śnieżne zdawały się wysuwać z głębin zielonych, witając podróżnych. Niektórym mróz zdołał jeszcze zarumienić wybladłe policzki. Zastopieni w myślach, wszyscy postępowali w milczeniu za chudą kobyłą Mahaisa Paavy, ciągnącą na saniach najmłodszych i najsłabszych z gromady. Cisza panowała zupełna, przerywana tylko skrzypieniem sani i chrzęstem śniegu pod nogami, a niekiedy płaczem najmłodszej córki Anny. Dopiero niedaleko od wioski Keki rozpoczął się nieznośny koncert psów, których szczekanie i wycie jeszcze im daleko za wsią towarzyszyło.

Biedakom lżej się zrobiło, gdy ta dzika wrzawa zmilkła na koniec, kiedy się zagłębili w nieskończone, głuche, bezludne pustkowia łąk i lasów, rozciągające się przed nimi bez końca. Jak oko dosięgnąć mogło, z najbardziej wzniesionych punktów nie było widać naokół, oprócz lasów, jaśniejących wspinałą zimową szatą i rozgałęzionego szeroko łańcucha gór Maaw.

Nad całą gromadą wzgórz wznosiła się od południa, panując nad okolicą, szczerbata, skalista Jokunvaara o spiczastych szczytach. Daleko na horyzoncie rysowała się Niemivaara, a ta wielka przestrzeń wody, widniejąca od północnej strony, było to napewno wielkie jezioro Valamo.

Z początku pogoda sprzyjała podróżnym, powietrze było jasne i ciche, lecz nagle zimny powiew zmarszczył powierzchnię wody, a zdaleka od Runny zaczęły pędzić przeciągłe, zimne podmuchy.

Mała chmurka, od rana widzialna na horyzoncie, rozciągnęła się nagle, jakby doganiając podróżnych, a szczyt Tetrivaary zniknął za nieprzejrzaną, białą zastoną. Z drzew zaczęły się sypać gęste płatki śniegu, a drobny pył śnieżny podniósł się z ziemi,

wirując z szelestem po białym całunie, pokrywającym ziemię. Tumany kręcącego się coraz gwałtowniej śniegu podnosiły się coraz wyżej, w końcu zadymka zupełnie oślepiła idących. Z dziękem wyciem i skowytami zawieja rzuciła się na las, szamocząc koronami drzew.

Podróżni przyspieszają kroku, lecz wielkie jodły już z jękiem pochylają się przed potężnym huraganem i chmura śnieżna pędzi po niebie wśród groźnego szumu wichru. Góry, doliny, lasy, ludzi, niebo i ziemię ogarnia szalona zamieć śnieżna i jakby rozuchwalona swym zwycięstwem, z każdą chwilą nowej nabiera mocy.

Podróżni rozpaczliwie bronią swego życia, przeciwstawiając wszystkie swe siły rozpasanej potędze żywiołów. Teraz okaże się, kto mocniejszy: wichur, powstały na południowych stepach, czy dzieci pustkowi północy.

— Poddajcie się, poddajcie się — wyje wichur, ale ludzie rwą naprzód, podpierając jedni drugich. Odzież ich, pokryta szronem, zeszywniała od strony wiatru, stała się twardą, jak zbroja. Obutwie przymarzło do podeszew, które ich palą, jak ogniem. Już jeden chłopiec upadł w zaspę śnieżną: a wichur w przestrzeniach bezbrzeżnych zawył potężny hymn zwycięstwa.

— Antti, masz kawałek chleba, ale nie ustawaj — rzekł Tomasz do brata, którego mu już coraz trudniej było uciągnąć za sobą.

— Naprzód, na Boga, naprzód! — zawołał Mahais-Paavo. — Już tylko ćwierć mili jesteśmy od wsi Talkkil

Wzniosę pokornie ręce
Do mojego Pana na niebie,
Niechaj nam pomoce ześle,
Oświeci nas w potrzebie.

Próbowała nucić kobieta, upadająca ze znużenia i ostatnim wysiłkiem trzymająca się na nogach. Mahais Paavo podtrzymuje ją i stara się słowami dodać otuchy.

Perttus odebrał dziecko żonie i w milczeniu, utykając, prowadzi ją drżącą z zimna. Anna uczepliła się kurczowo jego ramienia, ale nie byłaby w stanie się utrzymać, gdyby nerwy nie dodawały jej siły.

Coraz to ktoś z gromady pada na drodze. Kobieta Mahaiso utknęła w zaspie, ale ktoby się troszczył o konia w takiej chwili!

Śnieg sypie tak gęsto, że jedni drugich nie mogą dojrzeć. Tu i tam oko odróżnia jakąś postać skurczoną, ale każdy myśli tylko o sobie. Modląc się kobieta puściła ramię Mahaisa-Paavo i osunęła się na ziemię, a on nawet nie zauważył tego.

— Naprzód, na litość Boską, naprzód! — powtarza—inaczej wszyscy zginie!

Prawie wszyscy też idą naprzód. Tomasz i Antti odpoczęli chwilę, potem zerwali się i szli, nie wiedząc, co się z innymi dzieje. Na drodze spostrzegli ciało kobiece napół przykryte śniegiem.

— Przecież to nie mama—szepnął Tomasz.

O sto kroków dalej siedział Mahais-Paavo; oczy miał szeroko otwarte, ale Antti, który się potknął o niego, spostrzegł, że były martwe i że chleb przymarzł mu do ręki, bo nie wypadł z niej, chociaż Antti o niego potrafił.

Pot zlewa tych, którzy iść mają jeszcze siłę, dotkliwie pragnienie ich dręczy. Niektórzy próbują jeść śnieg, ale ten im pali podniebienia. Członki robią się ociężałe i bezwładne. Rozpacz ogarnia wszystkich. Jeszcze ostatni wysiłek, a potem ciało i dusza usypia, i zupełna obojętność następuje po chwilowym podnieceniu. Obawa cierpień niknie. Powieki robią się ociężałe i senność człowieka ogarnia. Śnieg — to łożo miękkie—miękkie i nęcące. Zimno przenika ich do szpiku kości, ale sprawia przyjemne raczej wra-

żenie. Zapadłe policzki brzękną, twarz staje się pełną i okrągłą. Cmi się w oczach, ale pomimo zawrotów głowy, człowiekowi robi się miło i spokojnie.

Tomasz i Antti idą ciągle, pomagają sobie wzajemnie. Czyżby zmylili drogę, gdyż żadnego śladu na śniegu nie widzą? Mimo to idą ciągle naprzód, zdaje im się bowiem, że ich ktoś pędzi.

Antti zatrzymuje się na chwilę i spostrzega ojca, który coś ciągnie za sobą, ale siostrzyczki nie trzyma już na rękę, a z mamą co się stało? Tomasz nie pozwala mu stać długo, pociąga go za rękę, przynaglając do drogi.

— Widzisz, ojciec jest nieprzytomny, patrz, jak mu oczy błyszcą i jak ciągnie coś za sobą. Chodźmy, chodźmy prędzej!

Znów idą, choć teraz ciemność ogarnęła ich zupełnie.

— Musi już być noc! Żeby to człowiek śmiał spocząć choć na chwilę.

Ale Tomasz nie spoczywa, choć gorączka go trawi i krew palącą falą płynie w żyłach.

Nagle w oddali zamigotało przed nimi światło. Tomasz czuje, że powinienby tę radosną nowinę innym oznajmić, ale nie może dobyć głosu, tylko ostatnim wysiłkiem kieruje swe kroki ku owemu światłu.

Jak przez sen słyszy szczenie psów, które dochodzi go pomimo wycia wiatru.

Potem ogarnia go zupełna niepamięć. Instynktownie ściska rączkę braciszka i ciągnie go raczej, niż prowadzi za sobą.

Siły opuszczają ich zupełnie, ale są już prawie u celu. Włóścianie ze wsi Takkili, zatruwani gwałtownym ujadaniem psów, wybiegli na drogę, aby zobaczyć, co się stało i wprowadzają nieszczęsnych do chaty. Zewsząd sypią się na chłopców pytania:

— Boże! ludzie, a zkądście? Zkądście się wzięli w taką zawieję? Czemuż nie odpowiadacie? Na rany Boskie, toć ten człowiek trupa za sobą

ciągnie! Oni ledwie z życiem uszli w taką zawieję. Cud, że wszyscy nie zmarzli.

W izbie włościanie z Tolkkili odebrali ciało Anny Perttusowi, który nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego, co się dokoła niego działo. Gdy wszystkie sposoby ratunku okazały się daremne, ciało biednej kobiety złożono w pustej szopie. Perttus tymczasem usiadł przy kominie i bezmyślnie wpatrywał się w ogień, a chłopcy, wyczerpani drogą, położyli się i natychmiast usnęli.

Spali długo i dopiero pod wieczór następnego dnia, przebudziwszy się, opowiadali włościanom z Tolkkili swe straszne przygody w pochodzie przez płaszczyznę Kero. Perttus podupadł zupełnie na siłach i nigdy już przytomności nie odzyskał; trzeba się nim było opiekować, jak małym dzieckiem.

Na trzeci dzień zamieć ustała i słońce zajaśniało na niebie. Płaszczyzna Kero zastana była gładkim, oślepiającej białości całunem. Promienie słoneczne zapalały iskry w kryształach szronu, pokrywających drzewa, z nagich gałęzi zwieszały się sople lodu, jak lzy zakrzepłe.

Na wiosnę szesnaście krzyżów z nieociosanego drzewa wyciągnęło swe ramiona nad płaszczyzną, która odtąd „doliną głodu,” lub „polem szesnastu” nazwaną została.

Jowiszowe piskłeta

napisał

Zachris Topelius.

Zeus Kronion, zwany przez Łotyszów Jowiszem, rzekł razu jednego do Hebe, bogini młodości:

— Gdzież jest mój orzeł? Trzy razy zaniedbał już błyskawicy i nie widzę jego skrzydeł, rozcinających chmury Olimpu.

— Twemu orłowi, o wielki Zeusie, sprzykrzyło się samotne życie w chmurach, obrał więc sobie siedzibę na szczytach gór i towarzyszkę wyszukał.

— Szaleniec. Czyż nie dosyć dla niego szczęścia i zaszczytu, że mój piorun dzierży?

— Zaszczytu dosyć, o wielki Zeusie, lecz, przebac mi moją śmiałość, szczęścia nie dosyć. Ty sam, wszechpotężny ojciec bogów, wzięłeś sobie towarzyszkę, aby móżdż udźwignąć ciężar swego majestatu.

— Idź, niech Merkury pośpieszy i rozkaże orłowi, aby wracał natychmiast na wyżyny. Błyskawica nie zna miłości, ona tylko oświeśla, druzgocze i zabija!

Merkury, posłaniec bogów, spuścił się z promieniami jutrzeńki na ziemię, a z zorzą wieczorną powrócił na Olimp.

— O wielki Zeusie, orzeł twój nie może przylecieć, ma małe, których strzedz musi.

— Co, Jowiszowy orzeł zniżył się do hodowania piskląt!?

— Młodych orłów, o wielki Zeusie! Połączył się on najprzód z samicą kondora, potem z gołębicą, a nakoniec z sokolicą. Wszystkie trzy odleciały od niego. Ale każda zostawiła mu pisklę. Twój orzeł prosił pokornie, abys go zwolnił od służby, póki małe się nie wypierzą.

Jowisz, gromonośny, zmarszczył brwi w gniewie, a od jego spojrzenia góra zadrżała.

— Idź i przynieś mi te piskląta!

Merkury spuścił się na ziemię w mgłę wieczornej, a z zorzą poranną wrócił na Olimp, niosąc w polu płaszcza trzy nieopierzone orlęta, które gwałtownie chwytaly żółtymi dziobkami powietrze, gdyż boski eter był zarządki dla ich płuc.

— Neptunie — zawołał pogardliwie Jowisz — wrzuc-no tę marnotę w morze Egejskie.

Neptun uniósł swą zieloną brodę nad fale morskie, nadział pisklęta na trójzab i wrzucił w głębiny morza.

Lecz orlęta popłynęły szybko do lądu i o dziwo, wyszły z toni okryte pierzem.

— Co widzę! — wykrzyknął zdziwiony Jowisz — pisklęta umieją pływać? Plutonie, ciśnij je do Erebu i przywal je górą Ossa.

— Ossa jest może za lekka! — pomyślał z okrutnym uśmiechem. — Jak tytani, Pelion na Ossę przyrzuca.

Ciemność i śmierć zaległy nad Erebem; lecz młode orlęta przekopały sobie drogę pod ziemią, wypęłżyły z pod góry i umieściły się zuchwale na gałęziach oliwki, rosnącej nad rzeką Olimpu.

Z ciężkiej próby wyszły z mocnemi szponami i dzioby ich stwardniały.

Jowisz spostrzegł pisklęta i wezwał rozgniewany kowala Wulkana.

— Te marne stworzenia — zawołał — ośmieliły się oprzeć wyrokowi śmierci. Śpiesz, Wulkanie, wrzuc je w ziejący krater Etny i niech je wrząca lava uniesie.

— Mnie nie ujdą -- wyszczerzył zęby w złośliwym aśmiechu kowal olimpijski. — Lecz może Etna jest niedość rozpalona, dla pewności zmiażdżę je wprzód uderzeniem mej ręki.

Olbrzymia pięść spadła na biedne niewinne ofiary, a skrwawione ich szczątki zostały wrzucone w ognisty krater. Jowisz z zadowoleniem spoglądał na snop ognia i iskier, wznoszący się z otchłani ku niebu pościemniałemu od teńnienia nocy, i rzekł do siebie:

— Jutro mój orzeł znów ujmie piorun w swe szpony.

O świcie Merkury, pobladły z przerażenia, stanął przed tronem chmurozbiórcy.

— Wielki Zeusie, orlęta, które kazałeś spalić, siedzą na szczycie Parnasu i skrzydła im wyrosły.

Wszystko we wszechświecie ucichło. Ojciec bogów milczał zakłopotany, jak żak skarcony. Nakoniec rzekł:

— Zawołaj mi Tyrezyasza.

Wieszczek Tyreyzasz przybył z pól elizejskich.

— Mówią — rzekł doń Jowisz łaskawie — że ty wiesz wszystko, co było, a co już minęło.

— Tak, wielki Zeusie, jestem synem Parcena. I to wiem również, czego jeszcze niema, lecz będzie.

— Dobrze. Rozwiąż mi zagadkę. Orzeł mój zaniedbał piorunu, ponieważ hoduje pisklęta. Rozkazałem orlęta wrzucić w morze, pogrzebać je i nakoniec spalić i patrz: oto one skrzydlate i zbrojne mocnemi szpony siedzą na szczycie Parnasu!

— Wiem o tem, wielki Zeusie! Twoje pisklęta są to bojownicy wieków. One musiały się narodzić.

Ani ziemia, ani ogień, ani woda zniszczyć ich niezdolne.

— Rozumiem cię. Chcesz mi przypomnieć, że użyłem przeciw nim trzech żywiołów, zapomniawszy o czwartym, do którego one właściwie należą. Rozkażę natychmiast Eolowi, ażeby, jak dym lekki, rozwinął je w powietrzu!

— Nie, wielki Zeusie, umiesz władać światem, ale nie przyjmujesz wielkich potęg, które rządzą nawet samym władcą. Napróżno przykułeś Prometeusza do skały, ramię twoje jest również bezsilne wobec tych wysłańców przeznaczenia. Są one iskrami twej błyskawicy, więc są nieśmiertelne. Ty chcesz uśmiercić to, co jest wiecznem.

— Cóż to znaczy? Objasniaś mi zagadkę nową zagadką. Wytlómacz się jaśniej.

— Orzeł twój miał pisklę z kondorzycą, mieszkanką najwyższych szczytów, czyż nie pojmujesz, że to orle jest to Myśl, o polocie nie znającym granic? Orzeł miał drugie pisklę z gołębicą; to pisklę to Wiara, która razem z Miłością i Łagodnością światem włada. Nakoniec miał on pisklę z sokolicą. Czyż nie przeczuwasz, że to orle jest żarliwem, wiecznie skorem do walki Słowem. Wszystkie te dzieci dziedziczą cechy ojca i matki. Po ojcu mają blask piorunu i swobodę lotu. Ludzie, zawsze jak ty to również uczyniłeś, będą wolność myśli, wiary i słowa ciemniżyli i prześladowali, zechcą je zabić, ale jak ty, przekonają się zawsze o swej bezsilności. Z prześladowania, męczeństwa i śmierci powstaną te wolno-urodzone ptaki, tylko silniejsze i lepiej uzbrojone. O krótkowidzący władco w czasie, ale nie w wieczności, czyż zechcesz jeszcze zabijać to, co jest nieśmiertelne?

Niebo całe pociemniało od chmury, która zasępiła czoło Zeusa.

— Wolne—rzekłeś—wolne? A gdyby te orlęta ośmieliły się urągać mojej wszechwładzy?

— To byłbyś bezsilnym wobec bojowników wieków.

Zeusa Kroniona, zwanego przez Łotyszów Jowiszem, wzięta pokusa przenieść zuchwałego wieszczka z pól błogosławionych w najczarniejsze głębie Erebu. Był jednak na tyle bogiem, że umiał przebaczać, lecz na tyle bożkiem zarazem, że nie przebaczał zupełnie.

— Tyrezyaszu — rzekł — oszczędzę cię i nie zmiażdżę za zuchwałe napomnienie, które odważyłeś się dać władcy Olimpu. Lecz wskażę ci właściwe powołanie: Bądź odtąd *nauczycielem* na polach Elizejskich!

KALEKA.

przez

Jonatana Reutera.

Lekki wietrzyk zmarszczył powierzchnię zatoki, okolonej zielonym pasem łąki, a dalej ujętej w ciemną ramę lasu. Słońce paliło dotkliwie, a w jego promieniach drobne fale połyskiwały, jak srebro, rząc oczy olśniewającym blaskiem. Lecz w głębi wybrzeża szumiały drzewa, roztaczając cień dokoła. Minąłem biało pomalowany pomost, gdzie wyładowywano towary i zacząłem pięć się na wzgórze, aby ztamtąd spuścić się następnie w sławną a nieznaną mi dotychczas dolinę Köll i po raz pierwszy zakosztować chłodu, stale w niej panującego. Skręciłem pierwszą ścieżką za mostem i na zawrocie ujrzałem siedzącego bezczynnie starego człowieka. Pozdrowiłem go przechodząc i poszedłem dalej w głąb doliny, spostrzegłem

atoli zdziwione i zainteresowane spojrzenie, jakie za mną rzucił. Przebiegłszy dolinę wzdłuż i wszerz, obejrzawszy wszystkie osobliwości, wracałem tą samą drogą na wybrzeże i znów spotkałem starego, który ślady moje w rozpalonym, żółtym piasku starannie zacierał. Spostrzegłszy mnie, człowiek ten usiadł na pniu drzewa i uparcie mi się przypatrywał.

Zatrzymałem się i przemówiłem słów kilka o pięknej pogodzie.

— Tak, jest ładnie.

Zamilkł, a oczy jego błędziły nad zatoką i nad cieśniną, widniejącą w dali. Uwijały się po niej łodzie, napełnione ludźmi, oddającymi się pracy lub rozrywce.

— Jeżdżą parowcami, łodziami, uwijają się, jak kto może—zauważył stary, wyciągając z kieszeni fajeczkę.

Spostrzegłem ten ruch i pośpieszyłem podać mu cygaro w nadziei, że stanie się rozmowniejszym.

— Ludzie zajmują się wszystkim. Nigdy nie zaznają spokoju, ale parowce są największą osobliwością na świecie.

Spytałem, co mu się tak osobliwem zdało w parowcach, których przecież dosyć od dzieciństwa mógł się napatrzeć.

Z głębokim smutkiem odparł, że ich sobie wcale nie przypomina. Do czterdziestego roku życia patrzył tylko na zadymione ściany i okno, przez które widać było ciemną zieleń sosen, rosnących naokoło chaty — tak, aż do czterdziestego roku życia. Przebiegło mi przez głowę przypuszczenie, że może niepełna rozumu jest ten człowiek, to siedzący bezczynnie, to znów grzebiący w piasku. Włosy miał proste, siwe, spadające aż na kołnierz, kosmyki bro-

dy zwiecznione nieporządnie, wyblakłe, na pół przy-
mknęte oczy zapadły głęboko, twarz pokrywała się
zmarszczek. Ubrany był w spodnie, przytrzymane
paskiem i starą, ciemno-granatową sukmanę, którą już
rzadko się spotyka, jako zabytek dawnych czasów.

— Nie rozumiem was—rzekłem—jakże to, do
czterdziestego roku mogliście nie widzieć nic, prócz
ścian izby?

— A tak, bo jestem przełamany.

Byłem prawie pewien, że mam do czynienia
z waryatem, nie będącym w stanie dać rozsądnej od-
powiedzi; chciałem się już oddalić, gdy stary znów
na mnie spojrzał. W jego wzroku nie było obłąka-
nia, jeno smutek, cierpienie i opuszczenie.

— Możebyście mi opowiedzieli coś o sobie?—za-
pytałem. — Zkąd jesteście, co to znaczy, że jesteście
„przełamani” i jak się to stało?

— Nie wiele jest o tem do mówienia. Jestem
z pustych okolic lasu Harparskiego. Tam się urodzi-
łem i tam żyłem. To jest duży las, zły las.

— Jak może las być złym?

— Kogo on sobie na pastwę wybierze, ten nie
ujdzie swego losu, jak się jodła zwali. A kiedy je-
dna padała, upadła na mnie, no i jestem przełamany.

— To w lesie Harparu się stało?

— Tak, przy rąbaniu drzew. Pień złamał się
nagle, nie zdążyłem uskoczyć i przywaliło mnie.

— Chorowaliście długo?

— Aż do czterdziestego roku życia leżałem.
Doktorzy nic mi nie mogli poradzić. Prawdę rzec,
niby nie byłem chory, ale nie byłem i zdrow. Boleć,
nic mnie nie bolało, tylko poruszyć się wcale nie
mogłem.

— A teraz jesteście już zdrowi?

— Całkiem zdrow to nie jestem i nigdy nie
będę, tak jak inni. Ale że już i nogami włóczę i rę-
koma ruszać mogę, więc tu się zabrałem do roboty.
Nie jest to przecie żadna ciężka praca, a ktoś musi
to zrobić.

Wskazał ręką na zagrabaną ścieżkę i zamiecio-
ne wybrzeże i ciągnął dalej:

— Jak nie można robić nic lepszego, trzeba
robić, co można. Ktoś tu musi porządku pilnować,
wielkiemu państwu służyć, kamienie zbierać, ślady za-
grabiać...

— Tom wam, przechodząc tędy, kłopotu przy-
sporzył?

— E, co tam za kłopot! Jak się tyle lat prze-
leżało, to miło jest pogadać z kimś, co dużo światła
widział. Tak, ludzie jeżdżą i pływają, a parowce też
suną po morzu i dymią. Ha, ha! Byłoby to dobrze
módz tak żyć, jak inni żyją. Ale jak się człowiek
do niczego innego nie może nadać, musi tem być.
czem może. Bo czy nie tak, proszę pana?

— Prawda, że tak.

— Dlatego tu leżę i ścieżki zgrabiam; mówią,
że wielkie państwo tu przyjedzie, trzeba, żeby wszyst-
ko w porządku zastało.

Nachylił się i podniósł schowane za pnem drze-
wa zawiniątko w starej wypłowiałej chuście w kwia-
ty, wydobył chleb czarny i kawałek wędzonego le-
szcza.

— Twarde to, ale sytne — rzekł. — Jak wielkie
państwo przyjadą, to może i sztukę złota dostanę,
mówią, że państwo lubią tak płacić za fatygę.

Podniosłem się i pożegnałem biednego przetrą-
conego kalekę. Zepchnąłem czołno na wodę.

Dopóki mogłem go dojrzeć, siedział na pniu, spożywając swój skromny posiłek, i spoglądał za odalającym się czółnem. Potem wstał i zaczął znów zagrabić ścieżki, aby wszystko było w porządku, jak jasne państwo przyjadą...

K O N I E C

02184



BIBLIOTEKA
PARAFIA PW. NSJ
RADOM-GLINICE

20

SPROSTOWANIE.

W tomie niniejszym na tytułowej stronie mylnie wydrukowano tom I-szy.—Książka ta stanowi całość.

„GAZETA POLSKA”

Daje wszystkim swoim prenumeratorom w roku 1901

JAKO PREMIUM BEZPŁATNE

pomnikowe
dzieło p. t.

„*HISTORIA XIX STULECIA*”

(blisko 3000 ilustracji)

Dzieło to prenumeratorzy „Gazety Polskiej” otrzymują w formie zeszytów albumowych, stanowiących bezpłatne Dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej.”

„Historia XIX stulecia” z 3000 ilustracji wychodzi od 1-go Stycznia roku bieżącego we wspaniałem wydaniu na welinowym papierze w formie wielkiej 8-ki, z pięknymi ilustracjami, z tekstem opracowanym przy współudziale gro-
na uczonych. Obejmuje ono wszystkie objawy życia upły-
nionego wieku: wojny i dyplomację, wynalazki i udoskonalenie techniczne, podbój innych części świata przez Europę, rozwój pojęć filozoficznych i historię nauk, literaturę, sztukę i muzykę, przemysł i handel, obyczaje, mody i t. d. Wszystko, czemkolwiek ludzkość interesowała się w ciągu tego stulecia, wszystko, co osiągnęła, odbija się na kartach tego dzieła w świetnych opisach i doskonałych ilustracjach, a na rzeczy polskie zwrócona będzie szczególna uwaga.

Cena „Gazety Polskiej” wraz z „Historią XIX stulecia” w bezpłatnych Dodatkach tygodniowych

W Warszawie. Rocznie rb. 9.60, półrocznie 4.80, kwartalnie 2.40 miesięcznie kop. — 80. Z przesyłką pocztową Rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie 3.

Kto nie prenumeruje „Gazety Polskiej”, może nabywać całość lub zeszyty „Historii XIX stulecia” osobno; w takim razie opłata wynosi:

Cena „Historii XIX stulecia”	osobno za całe dzieło.	rb.	20
„	osobno, w prenumeracie za zeszyt	kop.	25
„	z przesyłką pocztową za zeszyt	„	35

Opłacający za całe dzieło z góry nie ponoszą kosztów przesyłki.

Adres wydawnictwa „Gazety Polskiej” i „Historii XIX stulecia z 3000 ilustracji”: Warszawa, Warecka 14.



